Nr. 36 Warszawa, dnia 24 Sierpnia (5 Września) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Dnia 26 sierpnia, o godz. 4-ej m. 3 popołudniu, Ich Cesarskie Moście Najjaśniejszy Pan i Najjaśniejsza Pani Aleksandra Teodorówna, w podróży Swej za granicę, raczyli przybyć na stacyę Praga Nadwiślańska. Na dworcu kolejowym uszykowaną była warta honorowa z lejb-gwardyi pułku Wołyńskiego, którego Szefem jest Najjaśniejszy Pan. Również dla powitania Ich Cesarskich Mości zebrali się na dworcu wszyscy dowódcy znajdujących się w Warszawie oddziałów wojskowych, naczelnicy wydziałów cywilnych, dowódca i oficerowie lejb-gwardyi pułku ułanów Jego Cesarskiej Mości, urzędnicy dworscy, szlachta bez godności dworskich i damy.

Na czele tych osób znajdowali się: Główny Naczelnik kraju, generał-adjutant hr. Szuwałow i żona Jego Ekscelencyi, hrabina M. A. Szuwałowowa. Osoby pełniące służbę rządową były w pełnej formie galowej, urzędnicy dworscy w wicemundurach, szlachta w swych mundurach obywatelskich, damy w jasnych toaletach z bukietami w ręku. Pozostałą wolną część niewielkiej stacyjnej platformy zajęła publiczność.

Kiedy pociąg Cesarski zwolna wjechał na stacyę, entuzyastyczne „hura" rozległo się na platformie. Ich Cesarskie Moście raczyli wyjść z wagonu. Najjaśniejsza Pani przywitała się z hrabiną Szuwałowową, która miała szczęście ofiarować Jej Cesarskiej Mości bukiet z żywych kwiatów. Najjaśniejsza Pani w towarzystwie hrabiny Szuwałowowej weszła do wspaniale przybranej kwiatami sali, dokąd Jej Cesarska Mość poleciła zaprosić i inne damy. Najjaśniejszy Pan, przyjąwszy raport od dowodzącego wojskami, przeszedł przed frontem warty; orkiestra grała hymn narodowy. Na lewem skrzydle warty stali naczelnicy pojedynczych oddziałów zarządu wojskowego, którzy mieli szczęście przedstawić się tu Najjaśniejszemu Panu.

Następnie Jego Cesarska Mość powrócił do prawego skrzydła warty, która przeszła w paradzie przed Najjaśniejszym Panem, przyczem dowódca wojsk szedł na lewem skrzydle. Podziękowawszy wołyniakom za ich zachowaną postawę, Jego Cesarska Mość wszedł do sali, gdzie była Najjaśniejsza Pani i miłościwie rozmawiała z hrabiną Szuwałowową. Następnie Jego Cesarska Mość powtórnie wyszedł na platformę i tutaj Główny Naczelnik kraju przedstawił Najjaśniejszemu Panu urzędników dworskich, urzędników cywilnych i szlachtę.

O godz. 4-ej min. 23 Ich Cesarskie Moście, miłościwie pożegnawszy się z osobami, witającemi Ich na dworcu, weszli do wagonu pociągu, przeznaczonego do odbywania podróży zagranicznej. Wśród gromkich okrzyków „hura," pociąg Cesarski ruszył w drogę.

Na lewym brzegu Wisły, od mostu, wzdłuż całej kolei obwodowej stały szpalerami wojska garnizonu warszawskiego; dźwięki hymnu narodowego i zgodne „hura" płynęły na powitanie pociągu Cesarskiego, dążącego wśród tych szpalerów."

([illegible])

Mocarze, władcy krajów i ludów, nie odwiedzają się, jak zwykli śmiertelnicy, dla zadośćuczynienia tylko potrzebom i obowiązkom towarzyskim. Każde ich spotkanie, chociażby usprawiedliwione takimi względami, musi mieć i ma zawsze znaczenie polityczne: w każdej bowiem chwili dziejów bieżących tkwi jakaś doniosła sprawa, zależna w swym biegu i rozwiązaniu od woli monarchów, sterujących bezpośrednio nawami swych państw a wplatająca się z siłą konieczności do najetykietalniejszej, najkrótszej i najpoufniejszej rozmowy. To też jakkolwiek pierwsza wizyta Cesarza Wszechrosyi wraz z Najdostojniejszą Małżonką, złożona dworom zagranicznym, jest naturalnym aktem grzeczności, nie zamyka się wszakże wyłącznie w jego obrębie i posiada wagę polityczną, tem większą, że Gościem jest Samodzierzca, którego wola włada nieograniczenie wszelkimi ruchami i losami narodu, oraz że na porządku dziennym stanęła ogromnej doniosłości kwestya wschodnia, której rozwiązanie zawisło w znacznej mierze od Rosyi. Ominięcie tego niepokojącego całą Europę przedmiotu w rozmowach Monarchów byłoby wprost niepodobieństwem; zresztą obecność i narady ministrów spraw zewnętrznych są dostateczną wskazówką, że nietylko nie starano się go ominąć, ale owszem roztrząsnąć.

Sam wzgląd etykiety czyni to najzupełniej zrozumiałem, że zagraniczna podróż Najjaśniejszego Pana rozpoczęła się od najstarszego z sąsiadów. Cesarz Franciszek Józef odwdzięczył się za zaszczyt pierwszeństwa przyjęciem wspaniałem, roztoczywszy w niem przepych dawno niewidziany w Wiedniu. Prasa urzędowa oznajmiła, że po tej wizycie nastąpią wkrótce dalsze na innych dworach europejskich. Przypuszczać należy, że wszystkie one prześcigać się będą w wystawności powitania i w składaniu hołdu Monarsze, którego potęgę znają i którego sympatyę pozyskać pragną. Ale niezawodnie najdalej w tych objawach pójdzie Francya, która do nich przygotowywa się oddawna. „Tam — powiada *Swiet* — czeka Parę Cesarską przyjęcie ogólno-narodowe. Opisy przygotowań do tego przyjęcia przenoszą nas w legendową krainę czarów i cudów." „Już przeszło miesiąc — piszą *Birż. Wiedomosti* — cała prasa francuska, bez różnicy kierunków i przekonań, przepełniona jest wiadomościami, pogłoskami i projektami, mającymi na celu możliwie jak najserdeczniejsze i najwspanialsze przyjęcie „Drogich Gości Francyi." Idzie tu nietylko o urzędowe powitanie, ale o wszechnarodowe wyrażenie najbardziej entuzyastycznego usposobienia i najszczerszych uczuć czci i przyjaźni. Jeżeli w r. 1893 cała Francya zjednoczyła się celem uczczenia marynarzy rosyjskich i związku z Rosyą, jeżeli interesy polityki zewnętrznej i przyjacielskie stosunki wobec narodu rosyjskiego zawsze były powodem do jednomyślności i zaprzestania wszystkich stronniczych kłótni i swarów, to można sobie wyobrazić, czego chcą i co chcieliby zrobić teraz Francuzi, aby upamiętnić przyszłą wizytę możliwie jak najdobitniejszymi objawami poważania i wdzięczności za okazywaną Francyi uwagę i zaufanie. Wszystkie dążenia narodu

francuskiego, od małego do wielkiego, skierowane są do jednej myśli, do jednego pragnienia: urządzić takie powitanie i takie przyjęcie „Drogim Gościom Francyi,“ jakich świat jeszcze nie widział. Wszyscy Francuzi pragnęliby w ten lub inny sposób wziąć udział w tem przyjęciu; to też w obecnej chwili słyszy się tylko obawy, że dla zaspokojenia wszystkich żądań i wszystkich projektów nie starczy ani czasu, ani miejsca.“

Jakkolwiek podróż Najjaśniejszej Pary dosięgnie we Francyi niewątpliwe najwyższego szczytu objawów zapału i z tego miejsca odbije się najsympatyczniejszem echem w narodzie rosyjskim, sądzimy jednak, że nie pomijając i nie wyróżniając żadnego pierwszorzędnego dworu i mocarstwa w Europie, musi ona być pojmowana jako pokojowa, jako dążenie do wytworzenia między mocarstwami harmonii nawet w rozstrzygnięciu tych spraw, na których obecnie najbardziej krzyżują się interesy rozmaitych rządów i któremi najmocniej roznamiętniają się uczucia narodów.

Szanownym Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

NOWE RZEZIE.

Dnia 26 sierpnia w Konstantynopolu znowu popłynęła krew. Tak samo jak 30 września r. z. Armeńczycy wywołali ruch, który nie udawszy się, pobudził Turków do rzezi. Tym razem działanie powstańcze, prowadzone również przez komitet londyński, było dobitniejszem, sprężystszem i sroższem. W roku przeszłym robili Armeńczycy manifestacyę, niosąc suplikę do Wielkiej Porty; teraz już przynieśli bombę i nie ulicę obrali sobie za widownię, ale bank otomański. Zajęli go i zagrozili wysadzeniem w powietrze. Turcya i dyplomacya europejska układać się z nimi musieli. Dzięki trwodze, sztab armeński właśnie w banku działający, wyszedł cało — na okręcie europejskim.

Za winnych wobec prawa tureckiego odpokutowali niewinni. Ruch w ludności armeńskiej Konstantynopola znalazł bardzo słabe współdziałanie w stadyum przygotowawczem, ale gdy już wybuchnął, naturalną siłą przyciągania wyległa ludność armeńska na ulicę, zajęła się wypadkiem i namiętnością polityczną zapłonęła. Przy innej policyi byłoby wszystko ograniczyło się do banku otomańskiego; ale policya turecka musiała przecież dowieść raz jeszcze, że wraz z całą organizacyą państwa tureckiego jest anomalią, cierpianą tylko przez Europę, przez cierpliwą do czasu energię, przez czas sam. Ohydna ta policya na widok niebezpieczeństwa sama wydała ludności muzułmańskiej hasło do rzezi.

I zaczęła się rzeź — znowu w oczach Europy, wśród mijających się dragomanów i kuryerów i not o niezałatwioną jeszcze sprawę kreteńską. Rzucali się i Armeńczycy na Turków, ale czynili to głównie w obronie życia, a ich liczebna słabość sama już miarkowała ich popędliwość. Aktorami za to byli Turcy, w rozmaitych punktach miasta, gdzie tylko mieszka Armeńczyk, bandami całemi się włóczyli, odbijali sklepy, niszczyli i rabowali dobytek, włamywali się do mieszkań i z wiernym zawsze jataganem — wnosili okrucieństwo i mord. Liczba ofiar, na 2,000 podawana, nie wydaje się przesadzoną. Turków, poległych z ręki armeńskiej, nie ma nawet stu.

Jak po 30 września r. z., tak i obecnie dyplomacya nie mogła nie ująć się za porządkiem wtedy, gdy już był pogwałcony; ale obecnie już nie ujęła się za Armeńczykami. Na jej żądanie sułtan wyznaczył aż dwóch gubernatorów wojennych na Konstantynopol, a nie są zupełnie płochemi pogłoski, pozwalające przewidywać ogłoszenie stolicy w stanie wojennym. Zaburzenia powtarzały się jeszcze w poniedziałek, i przyszłość najbliższa — niepewna. Statki, wpuszczone w grudniu r. z., stanęły już na wodach samego Stambułu. Flota angielska krąży po morzu lewantyjskiem. Tylko niemożność zgodnego zgóry podzielenia się łupem, chroni Turcyę od następstw takich gorączek zapalnych jaką była rzeź przeszłotygodniowa. Sułtan, obchodzący właśnie teraz dwudziestolecie swych rządów — mógłby łatwo być już ostatnim, gdyby go nie podtrzymywała dyplomacya, wyczekująca jeszcze chwili do rozbicia państwa otomańskiego najstosowniejszej.

Tydzień polityczny. D 26 z. m. była rzeź w Konstantynopolu (ob. artykuł wstępny).

W sprawie kreteńskiej sułtan podarował dyplomacyi kilka kolorowych szkiełek· gubernator na lat 5, zarazem wojskowy i cywilny; dochody całkowicie dla Krety, tylko danina roczna, jak z Samos, sądownictwo bez odwoływania się do Stambułu, chyba wyjątkowo; żandarmerya własna; poręczenie zgromadzeń narodowych corocznych itd. Kreteńczycy chcą takiej organizacyi zgromadzenia, żeby w niem dla projektów swoich zasadniczych mogli mieć większość — czyli nie chcą muzułmanów, a to ich życzenie będzie trudne do spełnienia. W Grecyi prasa, z początku popierająca ugodę, w ostatniej chwili niechętną się dla niej okazuje. Anglia zajmuje wciąż stanowisko dla Kreteńczyków przyjazne i ośmielające ich do dalszego oporu. O okrętach angielskich już wspomniano.

Anglia usiłuje podtrzymać także i ruch macedoński.

Cesarz austryacki przyjechał d. 1 września do Galicyi na manewry; które trwać będą dni dziesięć.

W sobotę d. 29 z. m. odbyła się w Burgu rada koronna i jak głoszą, dotyczyła ciągłych wybuchów wulkanicznych na Wschodzie.

Narady ministrów austryackich z węgierskimi względem nowej organizacyi kredytu, udzielanego pod opieką państwa, doprowadziły oba rządy do porozumienia się, w takich jednak warunkach, iż zgodę rozbija teraz sam Bank austro-węgierski, zaopa-

---

LAURA MARHOLM.

KSIĘGA KOBIET.

VI.

Okres, który nastąpił potem, streszczę pokrótce. Opisała go wyczerpująco pani Leffler w książce o Kowalewskiej, zaś Ellen Key w dziełku o p. Leffler sprostowała niektóre zbyt jaskrawe pomyłki i wypełniła braki. Nawet dla czytelników, którzy obu wspomnianych książek nie znają, streszczę ten okres życia Kowalewskiej tylko pokrótce. Były to bowiem w wewnętrznym jej bycie lata najbardziej martwe i pod względem psychologicznym najjałowsze. Weszła w ruch, z góry już z powodu krótkowidztwa na czczość skazany i miała być ruchu tego dźwignią. Wciągnięto ją do ściśle odgraniczonego towarzystwa, które rozpadało się na dwie wyraźnie oddzielone od siebie grupy: na umysłowo pobudzonych, pełnych reformatorskiej gorliwości pań i panów, wśród których nie było ani jednej prawdziwie wyższej, twórczej indywidualności męskiej; i na grupę męską, rdzennie szwedzką, do której nie należały kobiety lepsze. Spędzała ta gromada czas na wesołych biesiadach nocnych z winem i śpiewami, i miała w swojem łonie kilka wybitnych talentów, wrogo, pogardliwie spoglądających na grupę pierwszą. W Sztokholmie po raz pierwszy Zofia zmuszona była odrabiać pańszczyznę, tę zupełnie zwykłą, codzienną — musiała uczyć za zapłatę. Stanowisko czyniło ją zależną od moralnego widnokręgu pewnej kliki. Dzięki wrodzonej sprężystości, potrafiła zstąpić z szerokich, wielkich dziedzin swego geniusza, aby, jako docent, podporządkować się profesorowi i pełnić obowiązki nauczycielskie, które wkrótce śmiertelnie zaczęły ją nudzić. Matematyka bowiem póty miała dla niej prawdziwy urok, póki przyświecał jej geniusz starego Weierstrassa, rozpalający w niej błyskawice twórczego rozumienia.

Przez jakiś czas jako tako dostrajała się do otoczenia. Nie potrafiła atoli tak zupełnie zniżyć się do poziomu swoich aniołów stróżów, aby nie pobudzać ich do kiwania głową i częstych napomnień. Żywa, dowcipna, żadnych niemająca wymagań, zabawiała rozmową całe towarzystwo — aż ten tak dobrowolnie sponiewierany przez nią nadmiar inteligencyi i temperamentu wywołał przykre znużenie w kole wielbicieli i wielbicielek. Gdy spłowiał pierwszy blask nowości, zbliżyła się najwięcej do powolnej, spokojnej pani Leffler. Wywiązała się pomiędzy niemi przyjaźń, jedna z tych, które dziś, kiedy kobiety zaczynają żyć umysłem, tak są między niemi częste: przyjaźń rozumowa, bez głębszej wzajemnej sympatyi, zawarta nie z powodu bogactwa, lecz braku, — stosunek, w którym dwa *minusy* usiłują złożyć pospołu znak dodatni. Z chwilą, gdy znajdzie się jakiś *plus*, pierzcha zainteresowanie i rozumienie się wzajemne. Tak było i w tym wypadku, gdy na horyzoncie pani Leffler ukazał się książę Cajanello... We wspomnieniu pośmiertnem, poświęconem Zofii, a napisanem w najlepszych może zamiarach, podczas pierwszych tygodni miodowych miesięcy, pani Leffler okazała mało taktu i sympatyi względem przyjaciółki.

Z przyjaźni tej powstały owe utwory, do których Zofia dostarczała materyału, a które pani Leffler urabiała, usiłując ująć w formę objektywną, realistyczną to, co Kowalewska intuicyjnie, psychologicznie odczuła w życiu. Ona była istotą mistyczną, pełną chaotycznych mroków i tej bezbrzeżnej tęsknoty, właściwej Słowianom; pani Leffler była wykształconą córką rektorską, która „ustawicznie pracuje nad swoim rozwojem.“

trzony w przywilej i za zrzeczenie się go wymagający sutego wynagrodzenia.

Układy o kwotę, tj. udział procentowy w wydatkach, utknęły, i dopiero w końcu tego miesiąca mają się poruszyć. Horanszky proponował zupełne zaniechanie ugody, życie z pożyczki przez całe lat 10, a potem dopiero ustosunkowanie według zamożności, jaką wykaże podatek od dochodu: projekt bez sensu. Trzeba będzie orzech zgryźć — a twardy.

Hiszpanom zamało było mieć Kubę w ogniu: pożarem powstania zajęła się i największa z wysp Filipińskich, Luzon. Z kolonistami trzymają krajowcy, Tagale i *Negritos*. Dwa tysiące wojska już odpłynęło z Europy. Sam Canovas przyznaje, że od czasu wojen napoleońskich nie znajdowała się ojczyzna w tak srogiem położeniu.

Pomiędzy Włochami a Brazylią wybuchnął spór oddawna tlejący o prześladowanie Włochów przez ludność miejscową. Wyprawiono okręty. Włosi wszędzie obudzają niechęć — fakt znamienny.

Li-Hung-Czang z Londynu i z Osborne w New-Yorku.

W Japonii przesilenie ministeryalne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

POGROM KLASYCYZMU W NORWEGII.

Norwegia dokonała niedawno na swojem szkolnictwie takiej amputacyi śmiałej i energicznej, na jaką większe od niej organizmy społeczne nie prędko się zdobędą, a może i wcale nie pokuszą się o to. Jest nią nowe prawo o organizacyi średnich ogólnie kształcących szkół, uchwalone przez norweskie zgromadzenie narodowe (sejm). Stanowi ono najradykalniejszą z przedsiębranych gdziekolwiek dotąd reform szkolnych i wywoła silny przewrót nietylko w dziedzinie oświaty narodowej, ale i w całym stanie kultury społeczeństwa norweskiego. Polega ona przedewszystkiem na tem, że języki starożytne zupełnie wyłączone są z programu wykładów gimnazyów i natomiast przeniesione do uniwersytetu, gdzie dla życzących je zgłębiać stworzone będą osobne kursy. Tym sposobem tedy stary, znany całej Europie, spór „klasyków“ z „realistami“ rozstrzygnął się zwycięstwem tych ostatnich: nad językami „martwymi“ rozległ się wyrok śmierci najpierwej w krainie fiordów. Wyrok ten spadł na nie z ław stortbingu i nieodzownie, bo już doczekał się sankcyi króla.

Żeby zrozumieć istotę i doniosłość rzeczonej reformy szkolnej, trzeba, przynajmniej w głównym zarysie, uprzytomnić sobie dawny, obalony nowem prawem, system wychowawczy w Norwegii, który tu panował od lat 27. Według ustawy z d. 17 czerwca 1869 r., wyższe (tj. średnie) szkoły ogólnie kształcące składają się ze: „średniej“ (*Middelskole*) i gimnazyum. Gimnazya są klasyczne (*Latingymnasier*) i realne (*Realgymnasier*). „Szkoła średnia“ ma zwykle kurs sześcioletni i cel dwojaki: 1) być szkołą przygotowawczą dla gimnazyum i 2) dawać uczniom, po skończeniu studyów, wstępującym zaraz w życie, skończone i zadośćczyniące ich potrzebom, ogólne wykształcenie. Skończenie kursu szkoły średniej warunkuje prawo wstępu, bez egzaminu, do niższych specyalnych zakładów: do szkoły dentystycznej, marynarki wojennej itp. Przy szkole średniej może być jedna lub kilka klas przygotowawczych, utrzymywanych kosztem miasta lub przez osoby prywatne — ale nie przez państwo — oraz „praktyczna klasa realna“ (*Praktiske Realklasse*), z jednoletnim lub dwuletnim kursem. W tej klasie, po ukończeniu kursu „szkoły średniej,“ uczniowie mogą, jeżeli tego sobie życzą, rozszerzać i uzupełniać otrzymane wykształcenie. Ciekawy jest program wykładów w takiej „szkole średniej:“ religia, język ojczysty, historya (mniej więcej w zakresie, odpowiadającym kursowi gimnazyum rosyjskiego), geografia, nauki przyrodnicze (elementarny kurs zoologii, botaniki, mineralogii i głównie wiadomości z fizyki), matematyka (praktyczny rachunek z pojęciem o logarytmach, planimetrya i równania 1-ej i 2-ej potęgi), języki niemiecki, angielski, francuski, łacina. Co do tej ostatniej, to wymaganą jest od uczniów, kończących kurs, znajomość form gramatycznych i umiejętność, z pomocą słownika i gramatyki, wypełniania łatwych, bez grubych błędów, opracowań piśmiennych. Wreszcie — rysunek i kaligrafia. Wykłady języka niemieckiego poczynają się w pierwszej klasie od drugiego półrocza, historyi naturalnej i rysunku — od drugiego roku szkolnego, geometryi — od 3-go, łaciny i angielskiego — od 4-go, francuskiego — od 5-go roku. Wszystkie przedmioty są obowiązkowe, z wyjątkiem angielskiego i *łaciny*. Z tych dwóch języków każdy uczeń winien wybrać jeden, który staje się dlań obowiązującym.

Gimnazya zaś mają kurs trzyletni i dają pełniejsze wykształcenie średnie, niezbędne dla wstąpienia na uniwersytet i do wyższych zakładów fachowych. Przedmiotami wykładowymi w klasycznych są: religia, historya, matematyka i języki: norweski, staro-norweski, łaciński, grecki, francuski i angielski. Wszystkie są obowiązujące, z wyjątkiem dwóch ostatnich. W realnych natomiast gimnazyach wykładane są też same przedmioty, z wyłączeniem języków starożytnych, tudzież geografia, nauki przyrodnicze (mechanika, fizyka, mineralogia, fizyologia, chemia) i język niemiecki.

Gimnazya norweskie różnią się od podobnych zakładów naukowych gdzieindziej głównie tem, że kończący zupełny kurs w odziale realnym otrzymują, narówni z kończącymi oddział klasyczny, *prawo wstąpienia na wszystkie wydziały uniwersytetu*, wrazie jeżeli zdadzą *tylko ustny egzamin z języków starożytnych*. Tak samo i „łacinnicy“ dopuszczani są narówni z „realistami“ do wszystkich wyższych zakładów specyalnych, jeżeli złożą ustne egzaminy z matematyki i przyrodoznawstwa.

Taką jest w ogólnych zarysach organizacya wyższych ogólnie kształcących szkół w Norwegii, istniejąca od 1869 roku. Pomimo wielu jej zalet, od samego początku aż do obecnej chwili nie przestawała być przedmiotem zaciętej krytyki. Zarzucali jej malkontenci głównie to, że „szkoła średnia,“ która według ustawy miała spełniać cel podwójny — dawać odpowiadające praktycznym potrzebom wykształcenie jednym i sposobić do przyszłej specyalizacyi drugich — nie osiągała w należyty sposób żadnego z tych celów. Dla pierwszych kurs „szkoły średniej“ był za obszerny i niedość praktyczny; dla drugich — ciasno-utylitarnym i zbytecznym. Inny jeszcze brak tego systematu upatrywano w tem, że między „szkołą średnią,“ a niższymi zakładami naukowymi zbywało na związku organicznym, skutkiem czego dostęp dla warstwy wiejskiej i niezamożnej miejskiej ludności do wykształcenia średniego był nader utrudnionym. Żeby więc tym napaściom i utyskiwaniom położyć koniec, rząd, na propozycyę *storthingu*, w 1889 r. powołał nową komisyę szkolniczą, której zalecił rozpatrzyć dwa zasadnicze pytania: 1) o ile i do któ-

---

Już podczas tej wspólnej pracy przychodziło do starć między przyjaciółkami. Pani Edgren gniewała się o to, że „zaparła się własnego dziecka“ — utworu p. t. „Wokoło małżeństwa,“ gdzie miała zamiar opisać życie kobiet niezamężnych. Niewyczerpana wyobraźnia Zofii przytłaczała, krępowała ją, wnosząc do jej trzeźwości jakieś czynniki obce, wymagające szerokości, powietrza. Tworzyła tedy duże, obszerne, napuszone powieści, które nie miały w sobie prawdy. Zupełnie inaczej oddziaływała pani Leffler na Kowalewską. Przekonała się, że towarzyszka jej nie tyle posiadała talentu, ile jej przypisywano, nabrała więc ufności we własny swój talent literacki. Napisała wzmiankowane wyżej wspomnienia p. t. „Siostry Rajewskie“ i opowieść „Wiera Woroncow.“ Są to książki niezwykle głębokie i obejmujące więcej, niż inne arcydzieła ówczesnych pisarek. Nie wynagrodzono jej uznaniem, na jakie zasłużyła, dlatego właśnie, że nikt nie rozumiał przemawiającej z utworów tych indywidualności.

Dotychczas mylnie pojmowano Kowalewską, najmylniej zaś pojmowała ją pani Leffler. Traktuje ją, jak równą sobie, widać z takiego punktu widzenia:

Ja jestem wielka i ty jesteś wielka —
Obie jesteśmy równie wielkie.

Lecz Zofia i pani Leffler — to bynajmniej nie równe wielkości. Pani Leffler wewnętrzną swoją istotą ma się do Zofii tak, jak zjawisko czasowe do zjawiska wiecznego. Pani Leffler jest zwykłą sobie kobietą, o nader starannie rozwiniętym talencie; Kowalewska zaś jest jedną z tych zagadek, zjawiających się w świecie co czas jakiś, gdzie przyroda, zda się, występuje z granic. Takie jednostki skazane są na samotność, na cierpienia i na śmierć przedwczesną, nigdy treści swojej nie poznawszy...

W r. 1888, mając lat 38, Zofia po raz pierwszy poważnie poznała *tę miłość*, w której tkwi dola kobiety. M. K. był to wysoki, barczysty światowiec, bogaty bojar, pensyonowany profesor, który żył po za granicami Rosyi i przeważną część czasu spędzał w podróżach. Nie był tak młody, jak książę Cajanello. Starszy o kilka lat od Kowalewskiej, posiadał indywidualność skończoną, zrównoważoną, wolnym był od bolesnych uczuć młodzieńczych, od tej potrzeby przywiązania się do kogokolwiekbądź, ogrzania się ciepłem czyjegoś serca, od niezaspokojonych tęsknot i złudzeń, któreby można jeszcze stracić. Stosunkowo łatwiej jest porozumieć się starszej kobiecie z młodszym mężczyzną, to też miłość, jaką wzbudziła pani Leffler w młodym, niespokojnym księciu Cajanello, nie jest bynajmniej objawem zadziwiającym. Inaczej przedstawiała się rzecz u Zofii. Bojar, którego nazwiska wymienić nie mogę, bo żyje jeszcze i znajduje się w pełni sił, otrzymał był od życia wszystko, czego zapragnął. Był to imponujący, sceptyczny ulubieniec i znawca kobiet. O ile cokolwiek zająć go jeszcze mogło, zajęła go Zofia, jako rodaczka, geniusz, towarzyszka, ale jako kobieta nie miała dla niego tego fenomenalnego znaczenia, jakie kochająca kobieta ma dla młodego mężczyzny, któremu uśmiecha się po raz pierwszy przepełnione uczuciem serce niewieście. Owo przez tak długi czas tłumione ciepło, które objawiło mu się w niemłodej już kobiecie, nie miało dla niego ani uroku nowości, ani siły, mogącej niespodzianką podrażnić próżność. Przyjął miłość jej spokojnie i w niczem życia dla niej nie zmienił. Nie miał żony — Zofia więc miała mu być żoną. Ale rozmarzonym, roztęsknionym kochankiem być już nie mógł.

(D. n.).

rego roku szkolnego „szkoły ludowe“ (*Folkeskoler*) służyć mogą za przygotowawcze do wyższych wszechkształcących, i 2) w jaki sposób te ostatnie winny być urządzone, wrazie jeżeli mają się oprzeć na „szkole ludowej,“ żeby odpowiadały swemu dwojakiemu celowi.

Komisya ta, złożona z profesorów, rektorów itd., — która między innemi miała też za zadanie wyjaśnić stosunek szkoły współczesnej do fizycznego wychowania młodzieży — ukończyła swe prace w 1894 r. Wychodząc z założenia, że początkowe nauczanie stanowi podwalinę oświaty wszechnarodowej, że wyższe szczeble wykształcenia powinny się opierać na trwałych podstawach szkoły elementarnej, — komisya jednomyślnie uznała za niezbędną: organiczną łączność między tą ostatnią a tamtymi. Taki zaś związek osięgnąć można tylko przy idzennem przeobrażeniu „szkoły średniej“ i gimnazyów, a zachowaniu w stanie niezmiennym szkoły początkowej, jako osnowy ogólnego kształcenia.

W przetworzeniu „szkoła średnia“ przybrała postać następującą: Pierwsze dwie klasy jej, oraz przygotowawcze oddziały przy niej są zniesione, wobec tego, że mogą być zastąpione przez dwie pierwsze klasy szkoły ludowej, mające kurs pięcioletni (szkoła ludowa ma kurs siedmioletni). W ten sposób kurs „szkoły średniej“ z sześcioletniego staje się czteroletnim. Plan wykładanych przedmiotów w niej, zwłaszcza historyi i matematyki, znacznemu ulega skróceniu, język francuski — zupełnemu wyłączeniu. Ale gdy większość członków komisyi zostawiła podawnemu w szkole średniej łacinę, departament i komisya parlamentarna oświadczyły się za wyłączeniem tego języka z programu szkoły, co było przyjęte jednogłośnie przez storthing. Różnomyślność i przewlekłe spory wywołała w sejmie norweskim tylko proponowana przez komisyę organizacya gimnazyów. Zgodzono się natomiast na inny ich system: Będą teraz miały trzyletni kurs trojakiej kategoryi: historyczny z językami i łaciną, historyczny bez łaciny i realny. Na pierwszym wykładane są przedmioty wchodzące w zakres gimnazyów klasycznych, ale w większym rozmiarze, i nadto jeszcze: język angielski, geografia w związku z początkowemi wiadomościami z geologii, oraz nauki przyrodzone (fizyologia i chemia praktyczna). Język grecki nieobowiązujący. Pragnącym go uczyć się nie są natomiast wykładane: angielski i geografia. Za to przy uniwersytecie tworzy się kurs jednoletni wykładów łaciny i greckiego. W drugiej kategoryi wykładane są też same przedmioty, co w pierwszej, z wyjątkiem łaciny, tylko w nieco większym rozmiarze, oraz rysunek. W trzeciej zaś, realnej — też same przedmioty, co w drugiej ale w jeszcze większym rozmiarze. Pozornie jest wielkie podobieństwo między drugą a trzecią kategoryą szkół, lecz faktycznie jest znaczna różnica. Trudno nam rozwodzić tu nad tem szczegółowo. Jedno uderza nas z pierwszego wejrzenia w tej reformie, mianowicie stopniowe, dochodzące aż do żartobliwego minimum wykładu, wyłączanie, uszczuplanie i sprowadzanie na szary, macoszy, ostatni plan „nieobowiązkowości“ języków *martwych* z gimnazyów — na rzecz postępowego przyrostu nowoczesnej, *żywej* wiedzy. Ta banicya „starożytności“ ze szkół średnich przy jednoczesnej inwazyi „nowożytności“ — jakże jest znamienną dla „chłopsko-drobnomieszczańsko“ demokratycznej Norwegii. Znać w tem jawne i potulne ustępstwo zatajonej w t. zw. klasycyzmie zachowawczej „najlepszości“ — praktycznemu, fachowemu, rzeczowemu prądowi życia. Jak dalece przeważającym był głos jego w tem prawodawczem przedzierzgnieniu szkolnictwa, świadczyć mogą nieśmiałość, chwiejność, martwota i niedołęstwo głosu obrońców klasycyzmu. Są oni tak zawojowani przez „grubjańskich“ rzeczowców (realistów), że, nawet broniąc klasycyzmu, nie śmieli rzec ani słowa o słynnem „wychowawczem znaczeniu“ języków starożytnych dla młodzieży. Natomiast bronili ich z przyjętego tchórzliwie stanowiska napastników: ze względów utylitarnych. Cóż? *Vox populi vox Dei*! I, ma się rozumieć, ponieśli sromotną porażkę. Bo skoro raz sprawę utrzymania „martwych,“ pozbawionych praktycznej, dającej się łokciem i koroną (monetą) wymierzyć, wartości języków wprowadzono na targowisko, nie trudno było przeciwnikom wykazać niedorzeczność dowodów, zapożyczonych niedołężnie z ich własnego, życiowo-duchowego arsenału i pobić na łeb na szyję ślamazarnych rzeczników zbytku edukacyjnego. Większość praktycznego storthingu i członków komisyi sejmowej w tej walce zwycięskiej posunęła się tak dalece, że zażądała zupełnej banicyi języków starożytnych z gimnazyów. I tylko wzgląd na króla, któryby mógł nie udzielić swej sankcyi ustawie, a raczej wzgląd na siebie samych, więc przezorność iście chłopska, pohamowała te ich zapędy. W drugiem więc czytaniu ustawy sam sejm dodał do jednego z jej paragrafów przebiegłe zastrzeżenie, że za decyzyą króla i storthingu wykład łaciny, w niektórych gimnazyach, może być zachowany. Ale wątpliwem jest, czy krórekolwiek z nich, zalane powodzią chłopsko-drobnomieszczańską, wobec uprawnionej reformy samej zasady szkół, zechce kiedykolwiek powołać do życia tę martwą literę. Ktoś z dowcipnych obrońców wykształcenia klasycznego wyraził się w sejmie o tej poprawce, że jest ona usiłowaniem ożywienia nieboszczyka kroplami Hoffmanna. Możnaby w tem widzieć jeszcze co innego: ostatni, odległy o jakie 2,000 lat od pierwszego, najazd na Rzym i Helladę tychże samych, tylko o dwadzieścia wieków dojrzalszych mas teutońskich.

A. Munt.

Z WYCIECZKI W DOLINĘ PRĄDNIKA.

Czy okolica, hyperbolicznie zwana „Szwajcaryą polską,“ czy dolina Prądnika — z Ojcowem, Grodziskiem, Pieskową Skałą i Sułoszową — jest rzeczywiście piękna?.. Tu słyszę, jak z tysiąca świeżoróżanych, zwiędłych i zasuszonych ust wyrywa się jednozgodnie chłodny szept zdziwienia: „A któż o tem wątpi!“

Nie oburzajcie się, szanowne czytelniczki, jak Ofelia (w trzeciem akcie „Hamleta“), gdy młody królewicz-myśliciel na jej cnotę niewieścią, z wdziękami ciała współzawodniczącą, kłąb dymu sceptycznego puszcza, — i wybaczcie, że ulegam pokusie zaprzeczenia... oczywistości. Spowodowały to pewne czynniki psychologiczne, które wyświetlić muszę.

W *Kuryerze warszawskim* z dnia *20 sierpnia* znalazłem niespodzianie korespondencyę p. Adolfa Dygasińskiego, pisaną jakoby „z Ojcowa *w końcu lipca*,“ a poświęconą chwale administracyi dóbr ojcowskich. Jest to już drugi z rzędu panegiryk podobnej treści, skreślony w obecnej porze ręką płodnego beletrysty — pierwszy (w którym przesadnie oceniono skromne, choć istotne, zasługi restauratora, Gamona) umieścił *Kuryer warsz.* dnia 8 sierpnia, w tejże rubryce „ech letnich,“ jako list „z Pieskowej Skały.“ Tu nawiasowo, *dla ścisłości historycznej* nadmienię, że p. A. Dygasiński, o ile bezpośrednio mogłem sprawdzić, bawił tego lata około 18 lipca w Ojcowie nie dłużej (wraz z odpoczynkiem nocnym) nad *17 godzin*; sama więc krótkość pobytu nie pozwalała autorowi bodaj w przybliżeniu poznać stosunków administracyjno-ekonomicznych, które od kwietnia r. b. pewnej zmianie uległy. W danej chwili jednak nie o to mi idzie. Druga z rzędu „korespondencya“ (*Kur. warsz.*, nr. 230) należy do artykułów, które ludzi w rodzaju niżej podpisanego smutkiem głębokim przejmują. Może to jaki nastrój chorobliwy, — nie wiem; lecz nic ma on nic wspólnego z interesownością ani obłudą. P. Adolf D., chwaląc „bezwarunkowo“ (z wyjątkiem restauracyi miejscowej) nowy zarząd dóbr ojcowskich, nie dba faktycznie o „opinię powszechną“; ale odwołuje się do niej i na miękkiem jej łonie szuka wygodnego oparcia: „Korespondent literat (według pana A. D.), gdy wszyscy (?) mówią „czarno,“ nie powinien się upierać, że jest „biało...“ Oczy przecieram, — niedowierzam, i z przykrością sprawdzam, że zdanie takie wypowiada jeden z przywódców naszej inteligencyi... Jeżeli to ma być złote ziarno myśli, przywiał je chyba zły jakiś wicher ze śpichrza filozofii... nie ludzkiej... *Gdy wszyscy mówią „czarno,“ mów i ty „czarno...“* Piękna rada! A cóż to właściwie znaczy „*wszyscy*“? Czy czasem nie kilku znajomych, wspólnym interesem związanych, a dość wymownych i zręcznych, ażeby dany pogląd na sprawę potulnemu organowi swemu narzucić?.. Pod wpływem promieni słońc takich wysychają do reszty źródła optymistycznego na świat poglądu; wolałoby się raczej zakląć trywialną formułą, właściwą „ideologowi“ Ciamskiemu z powieści *Póro*, i wbrew wszystkim, odmówić bodaj tytułu piękna dolinie prądnickiej, niż niewolniczo wtórować t. zw. „wszystkim.“

Występując na seryo z podobnym protestem, ściągnąłbym bezwątpienia na siebie zarzut braku poczucia estetycznego; ale mógłbym szukać ratunku w teoryi: że piękność jest rzeczą czysto podmiotową i o tyle tylko istnieje, o ile ją uznajemy; zresztą nie byłbym osamotniony, — odwołałbym się do pewnej grupy ludzi, która od biedy odegrałaby rolę chóru „wszystkich.“

Jednego z takich (nie sądzę, żeby to był unikat) poznałem 29 lipca r. b. w Pieskowej Skale. Odźwierny zamku i zarazem (jak mi mówiono) prawa ręka plenipotenta, siwy wąsal — mniej niż średniego wzrostu, — sztywny, małomówny — prawdopodobnie ex-kamerdyner hr. Sobiesława Augusta Mieroszowskiego, oprowadzał mnie i trzy damy po pustych komnatach wspaniałego gmachu. Gdyśmy doszli do sali balowej, stanął u drzwi, naprzeciw okazałej estrady, i rzekł tonem uroczystym, zdradzającym pewne wzruszenie:

— Tu jeszcze przed czterema laty sto par mazura tańczyło!

— Jaka to (pomyślałem sobie) obfitość tłustych okruchów dla służby wtedy ze stołu biesiadniczego spaść musiała!.. „Nessun maggior dolore, che ricordarsi del tempo felice nella miseria..“

Później nieco zatrzymałem się wraz z naszym przewodnikiem przy oknie zamkowem, i wskazując w stronę widoku napół odsłoniętego, spytałem:

— Tu, zdaje się, jest Sułoszowa — śliczna wieś?

— Co, *śliczna?*... To dziura — dziewięć wiorst samych skał!..

Taki sąd o jednej z najpiękniejszych miejscowości w Królestwie Polskiem (przytaczam go dosłownie), wygłoszony przez starego sługę wielkopańskiego, który przecie ulegać musiał odpowiedniej asymilacyi kulturowej, zadziwił mię niezmiernie. Domyślałem się tu jakiegoś czynnika natury moralnej.

W tydzień potem, rozmawiając na gruncie Sułoszowy z jej nieodrodnym synem, w pobliżu źródeł Prądnika, miałem sposobność przekonać się, że pomiędzy kolo-

nistami i zagrodnikami tej wioski a dworem pieskowoskalskim (do którego niegdyś podobno dziewięć folwarków należało, dziś tylko jeden) istnieje zdawna przez ojców jeszcze przekazana, nieprzyjaźń. Odźwierny wąsal nie cieszy się bynajmniej sympatyą Sułoszowian: nazywają go „zagranicznym“ (jako pochodzącego z Galicyi) i złośliwie krytykują jego starokawalerstwo... Z drugiej strony nieliczni dzisiaj przedstawiciele dworu pańskiego, o ile sprawdzić mogłem, nie ukrywają racyi swego chłodnego do włościan sąsiednich stosunku: przed trzydziestu trzema laty, gdy wybuchł w zamku pożar, Sułoszowianie dopuścili się grabieży: dotąd jeszcze (jak świadczą na miejscu ludzie wiarogodni) znaleźć można tu i owdzie klamkę bronzową w chacie chłopskiej lub ślady makatów, przerobionych na gorsety.

Tak więc dziwnie ujemny pogląd starego dworaka na wdzięki Sułoszowy znajduje swe uzasadnienie w kryteryum psychoetycznem. Wprawdzie piękność okolicy jest co innego, a co innego stosunek moralny, jaki nas z jej mieszkańcami łączy; lecz natury proste nie rozróżniają tych rzeczy, i niepodobna im brać za złe takiego splątania pojęć, bo stanowi ono powszechną, choć na wyższych szczeblach umysłowych rozmaicie maskowaną, wadę sądów ludzkich.

Wrażenia też, wywierane przez miejscowość malowniczą na człowieka uczuciowego, który ją często odwiedza, nie mogą być zawsze jednakowo silne, i zależnie od warunków, przechodzą w biegu czasu całą skalę stopni... Jest to coś w rodzaju dziejów typowej miłości idealnej.

Gdym przed dwudziestu laty jechał po raz pierwszy do Ojcowa, wyobrażałem go sobie jako miniaturową dolinkę, z zamczyskiem na wzgórzu, opasaną kilku, ukrytemi śród jodeł, skałami. Ujrzawszy u celu podróży dość obszerny, rozgałęziony, lesisty, bogaty w roślinność, olbrzymiemi o bajecznych zarysach na każdym kroku strażnicami granitowemi zdobny parów, zakochałem się w nim szalenie. Z opiewającemi urocze ustronie, pyłkami poezyi naszej na ustach (jak młodzieńczy, choć posępnie sfinksowy wierszyk Edmunda Wasilewskiego: „Tu myśl Boga skamieniała w fantastycznych skał urwiska“ itd.), przebiegałem dolinę w różnych kierunkach, i wspinałem się na strome wzgórza, nie szukając ścieżek, ani przewodnika. Podziwiając wszystko, co śród przyrody ojcowskiej promienie słońca w większym lub mniejszym stopniu oświecały, nie lgnąłem do takich, jak groty, osobliwości — zwiedzałem je dopiero później, a zawsze — gwoli towarzystwu różnych osób. Twarda tymczasem proza życia codziennego ochładzała zachwyt. Nie było gdzie nocować; bo w hotelu „pod Łokietkiem“ wszystkie możliwe miejsca, wraz z salą jadalno-balową, oddano już na usługi gości. Znalazł się wreszcie jeden wolny, na poczekaniu z różnych sprzętów gospodarskich oczyszczony, kącik przy stajniach, — które w kilka lat później ustąpiły hotelowi „pod Kazimierzem.“ Okno w tej norce było do połowy pozbawione szyb, a drzwi — bez klamki — zamykały się przy pomocy sznurka i gwoździa, wbitego w ścianę. Proste łóżko — raczej „wyrko,“ przykryte białem prześcieradłem, i coś nakształt krzesełka stanowiło całe umeblowanie izdebki, należącej podobno do mieszkania fornala.

— I ja tu mam spać!? — zapytałem gospodyni, która mię z serdecznem zadowoleniem do urządzonego przez siebie „numeru“ wprowadziła.

— A ino, — odrzekła, śmiejąc się *całą gębą*, — posłałam panu świżego sianka — bedzie se pan spał, kieby jaki król.

— A nikt mię nie okradnie?

— Ktoby ta okradł!.. U nas złodzicja nima, a zresztą my z chłopem (tj. z mężem) pana bedziewa pilnować.

Pełen wiary w czystość pościeli i bezpieczeństwo zewnętrzne, znużony przytem długą przechadzką, oddałem się spoczynkowi.

Owej pamiętnej dla mnie nocy miałem jedno z najnaturalniejszych widzeń sennych. Jestem niby na brzegu płaskowzgórza ojcowskiego, śród gęsto lśniącą trawą zarosłej polanki — podobnej do tych, które w rzeczywistości tak niedawno zwiedzałem. Oparty o jakieś drzewko, zaczynam recytować, według zwyczaju, wspaniałą improwizacyę Mickiewiczowską („Samotność, — cóż po ludziach...“), — przejmując się szczególniej natchnieniem refleksyjnem poety, skrystalizowanem w następnych zdaniach:

„Myśl bystro leci z duszy, nim się w słowach złamie,
A słowa myśl pochloną i tak drżą nad myślą,
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką;
Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką?..“

Przy wymawianiu ostatniego wiersza uczułem nagle, jakby ziemia pode mną rzeczywiście zadrżała. Nie, to chyba złudzenie — myślę sobie, — i obejmując silnie drzewko, przy którem niby stałem, nawiązuję przerwany wątek... Ponownie grunt zadrżał. Nie, — powtarzam — trzęsienia ziemi nie są przecież właściwością naszego kraju. — Tak — odpiera duch refleksyi sennej, — ale to Ojców — okolica wyjątkowa, skalista... Spoglądam na dół: zamiast bujnej przed chwilą trawy, widnieją wszędzie pokosy świeżego siana... Ej, nie mnie „brać na kawał,“ mości Skierko i Chochliku!.. To pewno sen. Wykrzesawszy w ten sposób iskrę samowiedzy, zbieram wszystkie siły, — budzę się i czuję, że pode mną w posłaniu coś szybko przebiega. Może to żmija... Zadrżałem ze strachu. Zrywam się z łóżka i zapalam świecę. Ledwo podniosłem prześcieradło, z kłębów źle rozłożonego siana wyskoczyły... dwie myszy. Obłok trwożnych marzeń prysnął, a rzeczywistość zajrzała w oczy, jako „ridiculus mus...“

(D. n.).

A. G. Bem.

LISTY Z PARYŻA.

Położenie szwaczki we Francyi.

1) Stolica.

W szeregach armii od świtu do nocy znojnie pracującej pod komendą najnieubłagańszego satrapy: głodu, najcięższy może udział wypadł kobiecie. Nie dość, że nędza i ją przedwcześnie kładzie do grobu, ale warunki, w jakich zdobywa możność bytu, są o wiele cięższe od warunków mężczyzny. Słabiutko przytem przyświeca gwiazdka usamowiednienia.

Uwidocznia się to szczególnie w położeniu szwaczek. Dane, jakie tu przedstawię, zawdzięczam głównie książce Karola Benoist'a p. t. „Robotnice igły w Paryżu“ (*Les ouvrièrs de l'aiguille à Paris*, 1895). Praca ta ma dużą wartość ze względu na materyały zebrane po raz pierwszy, a choć z poglądami jej można polemizować, należy ocenić w niej przewodnią myśl humanitarną.

Ile liczy Paryż pracownic igły? Benoist podaje ich liczbę na osiemdziesiąt osiem tysięcy; sądzę, że należy ją podnieść co najmniej do stu tysięcy. Dane urzędowe w tym względzie prawie nie istnieją, szwaczki paryskie nie bywają uważane za robotnice, „Biuletyn oficyalny pracy“ nie wspomina o nich.

Jakże żyją?

Odwiedziłem w tym roku — opowiada Benoist — w dzień Bożego Narodzenia jedną ze starszych szwaczek. Śnieg padał i mróz ściskał. Nieszczęsna zestarzała się, choć była jeszcze stosunkowo młodą. Od trzech lat przebyła dwie ciężkie choroby. I teraz leżała zaziębiona, z dwoma wezykatoryami na piersi, a w izdebce pod dachem ogień od wczoraj nie palił się. Jednak w głodzie i chłodzie, objaśniała mi, gdyby mogła nieco więcej zarabiać, żyłaby jakoś.

Zobaczymy, jak:

Prawie zbędnem jest zaznaczenie, że słowo „robotnica igły“ nie określa nic jednolitego. Obejmuje ono kobiety, którym życie ułożyło się wcale znośnie — nadzorczynie pracowni, przełożone oddziałów w wielkich domach konfekcyjnych — niestety, bardzo nieliczne, po nich zaś całą skalę gorzej wyposażonych. Na pierwszym szczeblu stoją tak zwane modystki, jeden z najniższych zajmują kobiety szyjące worki. Między niemi mieszczą się hafciarki, krawczynie, gorseciarki, szyjące bieliznę, szwaczki u szewców i tapicerów, czapniczki, obrębiaczki rękawiczek skórzanych i płóciennych. I jeśli ostatecznie w wyższych grupach byt pracownicy jest znośny, u niższych budzi prawdziwe współczucie.

Wysoce podległa zmienności sezonów praca trwa raz dłużej, to znowu krócej. Prawo z 2 listopada 1892 r., dotyczące pracy kobiet i dzieci w zakładach przemysłowych, ogranicza ją najwyżej do jedenastu godzin. Jednak już jego sformułowanie pozwala na wyminięcie przepisu. Zastrzegając jak najsurowiej długość dnia roboczego, dodaje zarazem, że można pracę przeciągnąć w razie potrzeby do jedenastej w nocy i nie wspomina ani słówkiem o godzinie rozpoczęcia jej. Ponieważ zaś w pracowniach zaczynają się roboty o dziewiątej lub ósmej, więc nie naruszając uchwały, przedsiębiorca może dzień zwiększyć do trzynastu i czternastu godzin.

Prawo to, kładąc tamę wszelkim zajęciom nocnym, usuwa t. zw. „veillee.“ „O siódmej albo pół do ósmej wieczorem—opisuje hrabia Albert de Mun w mowie, którą uzasadniał swój wniosek ograniczenia pracy kobiet nocą — w chwili, kiedy szwaczki mają opuścić pracownię, zapowiada się im, że będzie „czuwanie.“ Nic nie wiedziały o tem uprzednio, już kapelusze są na głowach. Zostawia się kwadrans na przekąskę, jedna z kobiet idzie kupić chleba, czekolady lub wędlin i pośpiesznie, czasem już przy pracy, połyka się odrobinę jadła, opłaconego z własnych pieniędzy. Potem szycie do północy i dłużej. Koniec nareszcie. Pójdą do domu, ale niektóre mają trzy kwadranse drogi, czasem godzinę i więcej, tramwaje przestały krążyć. Większość woli przenocować w pracowni. Otrzymają tam zapewne sienniki albo materace? Gdzie tam, na krześle prześpi się każda.

Nazajutrz jedna z tych, co wróciły do domu, spóźniwszy się o pół godziny, traci pół dnia, bo robotę zaczyna się jak zwykle i z chwilą rozpoczęcia zamyka się drzwi.

Przypuśćmy, że kobieta jest żoną i matką—ciągnął dalej de Mun. Mąż wraca także z roboty, w domu nic nie zastaje, czeka, czeka, wreszcie idzie do szynku. Powoli staje się jego gościem. I ogniska rodzinnego nikt nie strzeże, czynniki ekonomiczne rujnują rodzinę.“

Wyjątkowo tylko wspomniana uchwała pozwala na nocną pracę kobiet. Ze wskazaniem danych gałęzi i z zastrzeżeniem, że nie przekroczy się siedmiu godzin. Ale zarówno praca kobiet sama w sobie, jak i zatrudnienie nocą są wynikiem warunków ekonomicznych i szumny dekret już 15 lipca 1893 r. uległ zmianom. Istnieją okresy, kiedy w szwalniach praca bije gwałtownem tętnem, zamówienia sypią się. Gdyby można było wziąć na miejsce kobiet mężczyzn, jak stało się wskutek wymienionego prawa w licznych tkalniach, przedsiębiorczynie-szwaczki nie-

wieleby dbały o kwestyę nocną. Niestety, istota okoliczności nie pozwalała, uzyskano więc zmiany następujące: granicę czuwania przesunięto do północy na 60 dni sezonowych (najczęściej grudzień i kwiecień), nadto dozwolono w przeciągu 30 dni, które inspektor rządowy określi, otwierać pracownie nocne najwyżej z dziesięciu godzinami zajęcia. Wyjątkowo może inspektor pozwolić na czuwanie i za temi granicami.

Nie o wiele więcej zmieniły się warunki, natomiast nie zaprowadzono żadnej głębszej reformy. A już ze względu na wyludnianie Francyi należało zająć się np. dziatwą szwaczek, niemających często włożyć czego do ust niemowlętom i podrastającym, dziesiątkowanym przez lada zakaźną chorobę.

Jak wynika z materyałów, zebranych przez Karola Benoist'a, przeciętny dzień roboczy trwa dziesięć godzin. Bardzo liczne są jednak dnie 12½-godzinne, liczby podnoszą się zrzadka do 13, 13½, 14, 15, 16, dwa razy do 19½ godzin. Wszystko w jednej i tej samej pracowni, zależnie od sezonu. Od dziesięciu zniżają się na 7, 6, a nawet 4. Produkcya i zarobki bardzo chwiejne.

Przejdźmy do ostatnich.

Bardzo trudno o dokładne wiadomości co do płacy szwaczek. Zakres jej wahań odznacza się dużą rozległością. Zarobek pracownic jest różny, zależnie od domu, od zręczności pracującej, od jej zajęcia, od kategoryi, do której należy.

Modniarki dzielą się na trzy grupy. Pierwsza — dziewczyny uczące się, te przez trzy lata nic nie zarabiają. Po tym czasie stają się przysposabiaczkami (*apprêteuses*). Otrzymują jadło, nadto 25—40 fr. miesięcznie. Zdolne i starsze posuwają się aż do 100 fr. Owe wchodzą w dział najwyższy, t. zw. *garnisseuses*. Płaca ich wynosi prócz stołu 60—100, lepszych 200 do 300 fr., nareszcie kierowniczek 300—500 fr. Są to królowe fachu.

Ale godność ich nie bywa dożywotnią. Zobowiązane do tworzenia artystycznego, już w swoim zakresie wyczerpują się po jakimś czasie, starzeją się, i jeśli nie złożyły trochę grosza, muszą na starość powracać do mniejszej płacy.

Ze szwaczek mogą uważać się za najszczęśliwsze te, które znalazły miejsce w wielkim domu. Wszystkie uprzednio muszą przebyć fazę terminatorek. Nauka trwa 18—20 miesięcy. Jednak sumienność mistrzyń nie bywa największą. Po skończeniu kursu dziewczyny często niewiele więcej umieją, niż przed rozpoczęciem, cały czas bowiem używano ich głównie do posyłek. „Czternaście miesięcy moja córka jest w szwalni — żali się jedna matka — nic jeszcze nie umie, posyłają ją tylko, a teraz nogi jej spuchły w kostkach i muszę ją oddać do szpitala.“ Skoro zaś cokolwiek umie, płaca zwiększa się stopniowo. Benoist przytacza opowiadanie dziewczyny, która matkę jeszcze musiała utrzymywać ze swej igły. Przez czas nauki dostawała dwa franki tygodniowo, przy końcu trzy. Skończyła ją wreszcie, dano jej najpierw franka, potem 1,25, 1,50, wreszcie 2 fr. dziennie. Miała znaleźć zajęcie za 2,50 fr., gdy nadszedł „sezon martwy.“

W większych domach szwaczka zarabia 3 fr. 70 c., uwzględniając martwą porę i luźne dni w roku, kiedy niema pracy. Lecz nie pozyskuje, jak widzieliśmy, zarobku tego odrazu. W końcu nie zapominajmy, iż oprócz wzmiankowanych domów, istnieją i mniejsze, a w tych płaca spada coraz niżej.

Najpierw wielkie magazyny. Tu kobieta podlega z amerykańska nazwanemu „systematowi potnienia“ (*sweating system*). Zamówione na jakiś czas krojczynie z najlepszych domów, sporządzają wzory strojów, wykonanie bywa oddawane przedsiębiorczyniom. Te uciekają się do pośrednictwa podprzedsiębiorczyń, owe do pomocy innych jeszcze, każda za pośrednictwo ściąga dla siebie opłatę. Najniższy stopień: szwaczka, która za 9—10 godzin pracy otrzyma franka, najwyżej półtora.

Takież honoraryum pobierają pracownice w mniejszych domach. Te, które szyją przedsiębiorcom spódnic i halek, kaftaników rannych i codziennych ubrań damskich, i tyle nie dostają. Pracują w domu, muszą zaopatrzyć się na swój koszt w igły i nici, i mieć własną maszynę lub z krwawicy 3 fr. sobie odtrącać co tydzień na jej wynajęcie.

Następują bieliźniarki, zarabiające franka do dwóch dziennie — nie licząc braku roboty — podobnież robiące krawaty. Szwaczki w sklepach pantofli pracują do północy, by mieć dwa franki. Te zaś, których oczy nie mogą już ustrzedz regularności drobnych ściegów, mogą znaleźć szycie worków, 80 centymów za 12—14 godzin.

Stąd głód, zimno i łachmany.

Ankieta, którą przedsięwzięliśmy — oświadcza autor — dostarcza nam rozpaczliwego wniosku, że przeważająca większość szwaczek nie może zarobić na życie pracą i że znajduje się w czarnej nędzy. Weźmy najlepszy wypadek: kobietę zarabiającą 3 fr. 70 c. Rocznie daje to 975. Pracownica taka musi odpowiednio ubrać się, wypadnie jej:

Ubranie	110 fr.	Opał, światło	12.65
Bielizna	93.60	Mieszkanie	150
Obuwie	23	Pożywienie	670
Praczka	66	Drobne wydatki	50
			1175.25

czyli deficytu 140 fr. 25 c.

Znowu im niżej, tem gorzej, tem więcej bohaterskich wysiłków, aby związać koniec z końcem, tem więcej odejmowania sobie od ust.

Mimo to wszystko dziwna rezygnacya. Benoist, wszedłszy do znanej nam chorej szwaczki w dzień Bożego Narodzenia, poprosił ją o spisanie kosztów jej życia. Zarabiała kiedyś 600 fr. rocznie. Więc szybko siada i kreśli budżet, na pożywienie wypada 90 c. Sumuje, wynik doskonały: 600 franków przychodu, 600 wydatków.

Ależ pani zarabia teraz tylko 1 fr. 25 c. „To nic i tu deficytu nie będzie.“ Oblicza, na życie odtrąca 65 c. Czyli mleka za 5, chleba za 20, w południe kawałek kiszki, wieczorem końskiej kiełbasy, razem 20 c., kartofli za 10 c., sera za 10 c. To ma być pokarm dla dorosłej, pracującej osoby. „Gdybym i tyle mogła stale zarabiać!“ I ani słówka niezadowolenia. Biedna zrezygnowana.

Lecz w podobnych warunkach nietrudno o zboczenie. Hafciarka wyszywa kaszkiety dla żołnierzy. Płatna od sztuki: 15 centymów za dwa kaszkiety, tygodniowo 117.50 c. „Jakże ona może wyżyć z tego?“ Jedna z sąsiadek odpowiada: „Na szczęście jest utrzymanką. *Na szczęście!*“

Taka jest zwrotka życiowej piosnki wielu.

Co zrobiono dla nich?

W kategoryi środków przedsięwziętych ku zaradzeniu niedoli szwaczek są dwie grupy. Pierwsza: urządzenia humanitarne, więc głównie trzy „Restauracye dla robotnic,“ dwie na rynku św. Honorego, trzecia pod nr. 47 ulicy Richelieu, gdzie szwaczki mogą tanio zjeść obiad lepszy, niż gdzieindziej, gdzie jadło zdrowsze i towarzystwo mniej podejrzane. Nadto „Domy rodzinne“ (Maisons de famille et de convalescence), z których najznaczniejszy pod 129 nr. ulicy Uniwersyteckiej i „Gościnność“ na avenue de Versailles. Robotnice niemające rodziny mogą tam stołować się i tanio mieszkać. Wrazie choroby pielęgnuje się je życzliwie, na wyzdrowienie posyłane bywają do urządzonego w tym celu domu pod lasem Fontainebleau, w miejscowości Héricy.

Druga: związki fachowe przedstawiają się nikle. Rzecz charakterystyczna, że najwięcej zajęli się nimi księża. Bardzo mało natomiast stronnictwa robotnicze z rozmaitych odmian i mówczynie kongresów kobiecych.

Zdaje się, że inicyatywie robotnic należy przypisać dwie „izby syndykalne szwaczek paryskich,“ z których jedna założona w r. 1887, liczyła w 1893 — 8 członków (!), druga późniejsza z 1892, miała według „Rocznika syndykatowego“ z 1893 trzysta osiemdziesiąt należących. Nadto istnieje: Związek chrześciańskich pracowni kobiecych, 25 ul. Maubeuge. Benoist jednak nie podaje o nim wiadomości. Zajmuje się nieco przynajmniej dziatwą robotnic „Towarzystwo wzajemne dzieci departamentu Sekwany.“ „Wzajemność macierzyńska“ (*La mutualité maternelle*) ma za cel dać niewiastom-członkom wrazie połogu odszkodowanie, pozwalające im wstrzymać się przez cztery tygodnie od pracy i otoczyć odpowiednią troskliwością dziecię.

Najważniejsze: „Szwaczka“ i „Syndykat igły.“ Pierwszy liczył w 1894 r. 1,101 członków, z tych 875 rzeczywistych, a 226 fundatorów lub członków honorowych. Głównem jego przeznaczeniem jest zapewnienie pomocy lekarskiej i wyszukanie pracy. Drugi posiada formę towarzystwa prawie fachowego, organizatorem jego jest ksiądz du Lac. Za franka wkładki rocznej, należące do syndykatu mogą korzystać: 1) z bezpłatnego biura stręczeń, 2) z kasy bezprocentowych pożyczek, 3) z porady adwokackiej, 4) z lekcyj rysunków i robót. Liczy ono więcej, niż tysiąc członków zarówno szwaczek i modystek, chociaż dwie te gromadki istnieją prawie oddzielnie jedna przy drugiej.

Zliczywszy wszystkie kobiety zrzeszone i podwoiwszy cyfrę ze względu na to, że dane Benoist'a są z r. 1894, nie otrzymamy na czas niniejszy więcej jak 6—8%. Jakże mało.

Muszę wspomnieć jeszcze o objawie, który bezwątpienia należy uważać za praktyczny... o przypuszczeniu robotnic do zysków. Jeden z wielkich domów (autor nie wymienia go) rozdał w r. 1894 sto dziesięć tysięcy franków zysków, lecz lwia część przypadła kierowniczkom. O wiele rosądniej urządzony inny dom hafciarski (nie wiem czemu pan Benoist ukrywał go pod mianem N.). Od pierwszego stycznia 1887 r. do końca grudnia 1892 r. robotnice otrzymały tam 25% czystego dochodu, rozdzielono między nie w ten sposób 40,800 fr. Maximum sumy otrzymanej przez jedną było 2,850, minimum 1,250. Różnice bez porównania mniejsze niż w poprzednim zakładzie.

Właściciel domu hafciarskiego spostrzegłszy, że krok jego tylko korzystnie wpłynął na produkcyę pracowni, podwyższył od 1 stycznia 1892 r. udział robotnic o jedną trzecią ogólnej sumy. Ilość przypadającą każdej obliczają przy końcu roku dwie hafciarki, wybrane przez towarzyszki, i zarazem przedsiębiorca, podstawę zaś obliczeń stanowią rachunki zapłat za pracę składane przez każdą co tydzień. Sumę tę, jeśli chce, może przelać do kapitału przedsiębiorstwa, za co otrzymuje 5 od sta i przypadającą na jej własność cząstkę z innej trzeciej części dochodu, odliczonej jako zysk kapitału podstawowego.

Wspomniany zakład posiada nietylko te zalety. Robotnice, które odbywają połóg, otrzymują tu zwolnienie od pracy na cztery tygodnie, a mimo to pełną płacę zarobkową bez późniejszego odtrącania i sto franków gratyfikacyi dla dziecka. Wrazie innej choroby mają za darmo lekarza i lekarstwo i przez sześć miesięcy mogą pobierać dwanaście franków tygodniowo. Suma ta zostaje odliczoną od

dochodów przy końcu roku, nigdy od płacy.

Piękna oaza na szerokiej puszczy.

W. Bugiel.

LIBERUM VETO.

Język pory. — Rozmowy z sobą i dobroczynne skutki rozmyślań w samotności.—Przerażony filister.— Deszcz dyplomów i medalów na wystawie hygienicznej. — Ulewny a jednak nie dość rzęsisty. — Prawo apelacyi. — Wnioski z narzekań i nagród. — Pobóle poronionego przedsięwzięcia. — *Sursum corda.* — Poczciwa jesień niosąca totalizator.

Osobny swój język mają ludzie w każdej porze roku: w jednej mówią ciągle o tańcach, w drugiej—o wyścigach, w innej o podróżach i t. d. I ja więc, używając języka tej pory, powinienbym powiedzieć, że wracam z wypoczynku letniego. Niestety, los-ojczym odmówił mi tej przyjemności. Nie pozwala on mi odpoczywać, pozwala tylko zmieniać rodzaje pracy. Kiedyś jeden z moich znajomych, lekarz, którego zapytałem, co robi na wsi podczas lata, odpowiedział mi:

— Co robię? Głupieję, o ile tylko jest możliwem. Idę do lasu, umieszczam się w cieniu i układam na kupkę patyczki. Gdy ją skończę, rozrzucam i układam znowu. Jeżeli deszcz zatrzymuje mnie w domu, siadam przy oknie i patrzę na spadające krople lub płynące strumienie wody, starając się przytem o zupełną bezmyślność. Taki sposób życia uważam za istotne odświeżanie i wzmacnianie mózgu, zmęczonego i wyczerpanego długim mozołem.

Ów lekarz ma zupełną słuszność i zwłaszcza dla ludzi pracujących umysłowo nie znam lepszej metody wypoczynku. Na nieszczęście sam używać jej nie mogę, gdyż naprzód brak mi czasu, a powtóre potrzebuję koniecznie przynajmniej raz na rok odbyć z sobą.... rekolekcye. Nie śmiejcie się, bo nie żartuję. Kapłani wszelkich wyznań, zalecający wiernym co pewien czas samotne rozmyślania nad życiem i jego warunkami, postępują bardzo mądrze, a ci prorocy, pustelnicy, apostołowie, którzy usuwali się na puszczę i tam w samotności rozpamiętywali cele swoich działań i sprawy świata, wiedzieli dobrze, co czynią. Chociaż z innych pobudek i w innej formie każdy człowiek powinien uciekać z gwarnych fabryk życia i zamykać się w samotności z samym sobą. Kimkolwiek jest, przez czas tych rozmyślań będzie filozofem, którym, biegnąc według rytmu codziennych zabiegów, być nie może. Bo każdy z nas zatapia się ustawicznie w dążeniach, celach i pracach szczegółowych. Jeden więzi swój umysł w osnowie powieści lub komedyi, drugi — w promieniach Röntgena, trzeci — w badanym azotanie srebra, czwarty—w redagowaniu pisma, piąty — w budowie mostu, szósty — w uprawie chmielu i t. d., a wtedy całość życia niknie mu z oczu, zasłonięta przecenioną i potwornie powiększoną wartością jego cząstki. Otóż potrzeba bodaj na kilka tygodni tak się wyzwolić z tych wszystkich zadań szczegółowych, azeby nas nie obchodziły ani promienie Röntgena, ani azotan srebra, ani chmiel, ani nic, co nas do tej chwili zajmowało i zacząć tak myśleć, jak myślałaby najwyżej zawieszona nad ziemią i ogarniająca ją spojrzeniem gwiazda.

Ale czyż wtedy głupi stanie się mądrym, a zimny realista marzycielem? Tak sądzę. Wierzę głęboko, że każdy człowiek, który sam z sobą szczerze porozmawia, nie mając innego świadka, prócz natury, podczas tej rozmowy będzie prawdziwym filozofem i poetą. My bowiem najgłupsi, najniegodziwsi i najprozaiczniejsi jesteśmy w obcowaniu z innymi. Dla przypodobania się, rachuby, interesu, chwilowej przyjemności, popisu, dla jednego z tych marnych względów, które poruszają manekinami życia, kiełznamy nasz rozum, gwałcimy uczucia i znieprawiamy najszlachetniejsze popędy. Dopiero gdy odsuniemy się od ludzi, od pokus obłudy i powodów wynaturzenia, zmartwychwstają w nas szczere uczucia i niezależny rozum. A taka zmiana następuje dlatego, że nie ma człowieka, któryby w stosunkach z innymi nie kłamał i nie przymuszał się, jak również nie ma człowieka, któryby sam w sobie mniemał, że przedmiot jego dążeń wyczerpuje główną treść ważnych celów życia ludzkiego i że ta rzeczywistość, na której gruncie on działa, jest najdoskonalszą podstawą istnienia ludzkiego. Dusza najgorszego z nas jest więzieniem jego rozumu, jest trumną jego letargicznych ideałów. I to więzienie i ta trumna otwierały się rozmyślającym na puszczy prorokom, otwierają się także w samotności każdemu z nas.

Taka jest korzyść rekolekcyj, o których mówiłem wyżej. Wracasz z nich może smutniejszy, ale z podniesioną myślą i czystem sercem. Pojmujesz wyraźniej i czujesz mocniej, że to błoto, po którem brodzisz, ten kurz, który ci zasypuje usta i oczy, ten mizerny ruch w pewnym ciasnym kierunku, te robacze zabiegi i robacze walki, ten wrzask i handel na codziennem targowisku życia, te podłe środki uświęcane celem, te szachrajstwa i sofizmaty samolubstw, cała ta szara, pokalana rzeczywistość nie jest Chanaanem, lecz jałową i wstrętną okolicą, z której go jedni zaledwie widzą, a drudzy wcale nie dostrzegają. Człowiek nie jest ani religijnym, ani uczciwym, ani myślącym, ani szlachetnym, jeżeli w mniejszym lub większym stopniu nie pogardza rzeczywistością, jeżeli jego dusza nie wpatruje się tęskno i miłośnie w krainę swoich ideałów. Pogardzać zaś nią może tylko wtedy, gdy od niej ucieknie i w samotności porówna ją ze światem marzeń. Religijny dostrzeże w niej za wiele grzechu i niepamięci o Bogu, uczciwy — za mało cnoty, szlachetny — za wiele egoizmu itd. Dlatego wraca do rzeczywistości smutny, ale lepszy.

Gdyby przypadkiem te słowa przeczytał jakiś filister, parsknąłby serdecznym śmiechem i rzekł:

— Zabawny ten moralista! Mnie mało djabli nie biorą, kiedy znajdę się na letniem mieszkaniu z żoną, którą zresztą bardzo kocham, i nie mogę urządzić sobie nawet marnej partyi pikiety, a on mi każe przebywać w zupełnej samotności! Powiesiłbym się, jak mi drogie dzieci, powiesiłbym się na pierwszem lepszem drzewie. Dziękuję za rekolekcye, już z nich dawno wyszedłem.

Ręczę, że nie powiesiłby się i wiele zyskał, ale skoro tak krzyczy, dajmy pokój namowom i wracajmy wraz z nim do Warszawy.

Tu zastajemy przedewszystkie straszny zgiełk na wystawie hygienicznej. O co chodzi? O odznaczenia. Redakcya pewnego pisma ogrodniczego, które czytuję ze szczególnem zajęciem, wyznaczając konkurs na agrest lub szparagi, dodaje stałe zastrzeżenie: żadne protesty przeciw słuszności rozdziału nagród nie będą uwzględnione. Komitet wystawy hygienicznej, posiadając dwa kłopoty: ubóstwo przedmiotów, dotyczących hygieny i bogactwo niemających z nią nic wspólnego, jak baba przysłowiowa bez kłopotów, kupił sobie w dodatku — cielę. Mianowicie pozwolił uczestnikom wnosić apelacye przeciwko wyrokom sędziów, oceniających ich płody. Naturalnie, wnieśli je wszyscy, którzy nie otrzymali dyplomów i medalów złotych. Powstał harmider, który nietylko jest gorszącym, ale odejmuje wszelką wartość przyznanym nagrodom. Komitet poszedł starą drogą wszystkich naszych wystaw — nie pominął w odznaczeniach nikogo i wysypał ze szczodrych rąk tak wielką masę złota i srebra, że gdyby mu kazano te honory papierowe wypłacić w kruszcu, jego prawnucy nie pokryliby jeszcze tego długu. A jednakże nawet ta hojność okazała się za skąpą. Pomimo że w Warszawie trudno dostać szklanki dobrego piwa, kieliszka czystego wina, zdrowego chleba i innych produktów „hygienicznych,“ na wystawie znalazło się ich tyle w doskonałym stanie, że miasto nasze powinno odtąd nazywać się „Hygeopolem.“ Jeżeli zaś tak jest, jeżeli uczeni stróże naszego zdrowia okazali się pobłażliwszymi dla producentów, niż publiczność, a w każdym razie, jeżeli stanęli z nią w ostrej sprzeczności, wnosić należy, że albo narzekania nasze na jakość tutejszych środków spożywczych są nieuzasadnione, albo też wystawa hygieniczna pod tym względem nie miała żadnego znaczenia. Bo jakże inaczej sądzić, skoro ogół, a z nim organ naszej hygieny ustawicznie powstają na fałszerstwa i lichotę produktów, a wystawa przekonywa, że one są bez wyjątku wyśmienite i że wszyscy uczestnicy zasługują na odznaczenia? Czy to nie jest przypadkiem bezwiedny popis mimowolnego humoru?

Bądź co bądź, przygotujmy się do wysłuchiwania przez kilka tygodni: protestów, apelacyj, poprawionych wyroków, dodanych medalów i tym podobnych „pobólów“ tego poronionego przedsięwzięcia.

Ale *sursum corda!* Nie udała się wystawa hygieniczna, udadzą się wyścigi, a zwłaszcza totalizator. Już jesień go niesie, niesie, poczciwa! O, gdy on przyjdzie, wtedy nie będziemy rozmawiali z sobą, tylko z nim i... lombardem.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

GROMADA PRA-DZIKA.

I.

Znaczenie przeżytku. — Społeczeństwo dzikie jest wytworem długiego rozwoju. — Przeżytki w niem istniejące, oraz ich znaczenie dla odcyfrowania ustroju pra-dzikiego. — Kilka uwag o charakterze więzi społecznej dzikiej i pra-dzikiej.

Zbytecznem jest przypominać o znaczeniu metodologicznem tak zwanych przeżytków—*survivals*—w nauce folklorystycznej, która w dalszym ciągu jest tylko jedną z nici szerszej osnowy, dziejów kultury ludzkiej. Są one kluczem do przeszłości, po której nie pozostało innych śladów. Nie ulega wątpliwości, że z takich źródeł możemy dokładniej odtworzyć poglądy, niektóre zwyczaje, nawet mitologię naszego narodu w epoce pogańskiej, aniżeli ze świadectw historycznych, wziętych pospołu. Przeszłość tkwi w teraźniejszości, my sami jesteśmy jej niewolnikami niekiedy w każdym szczególe, w sposobie kłaniania się lub wyrażaniu naszych myśli.

Jeśli cofniemy się wstecz aż do istniejącej jeszcze dzikości, która obejmuje ludy Australii, nawet tam nie będziemy oswobodzeni od spotkania się z tym samym objawem przeżytkowości. Plemiona australskie, których członkowie jeszcze niedawno uchodzili za istoty zaledwie godne nazwy człowieka, przedstawiają w swoim ustroju społecznym, zwyczajach itd. wynik tysiącoletniego rozwoju. Ich

ustawa społeczna opracowała tak drobiazgowe normy postępowania zarówno względem plemieńców, jako też w stosunku do przyrody, posiada tak szczegółowe zasady życia gromadnego, przytem otoczone takiem poszanowaniem, że możemy je wytłomaczyć tylko systematycznem działaniem myśli ludzkiej, celowem lub żywiołowem, w ciągu bardzo znacznego szeregu pokoleń. I nietylko wzrastała skarbnica obowiązków i zapowiedzi, ale także zmieniały się formy samego życia gromadzkiego. Ląd kopalny zaiste jest kopalnią, zawierającą bardzo pierwotną więź społeczną, jakiej nigdzie na globie nie spotykamy. Nie sądźmy jednak, ażebyśmy poznawszy tę dobę ubiegłą, a przecież jeszcze istniejącą, stanęli u pierwocin kolebki społecznej. Nie! Mamy tam jedno z ogniw rozwoju, wczesne tylko w porównaniu z naszym ustrojem. Lecz formacyę australską poprzedziły jeszcze inne ogniwa, pierwotniejsze, prostsze. I nawet ściślej rzecz biorąc, popełniliśmy już w powyższem błąd pewien, bo ktoś może wywnioskował, że Nowa Holandya wzdłuż i wszerz przedstawia pod względem społecznym fizyognomię jednolitą. Tymczasem rzecz się ma zgoła inaczej. Zamiast jednostajności, mamy tam do czynienia z niezmierną różnobarwnością. Systematyczne studya nad ustrojami plemiennymi australczyków dały nam obraz poprostu całego rozwoju jednych form z drugich: obok rodowości totemicznej istnieje inna, klasowa, obie oparte na prawie macierzystem, jest jeszcze inna, klanowa, ojcowska. Jest to pasmo ogniw! Każda z istniejących rodowości przedstawia szereg odmian, niektóre z nich zlały się z nowym ustrojem, ażeby wydać w ten sposób bardzo charakterystycznego noworodka. Widzimy nawet ustroje ani macierzyste, ani ojcowskie, lub jeśli kto chce: i macierzyste i ojcowskie, bo syn należy do totemu ojca, córka zaś matki. I w zakresie stosunków rodzinnych spostrzegamy tę samą rozmaitość. Są tam plemiona, w których istnieje ustalona rodzina parzysta i dochowanie wierności małżeńskiej obowiązuje nietylko żonę, lecz także męża; są inne, w których znajdziemy związek zbiorowy, tak, iż w granicach istniejących zakazów totemicznych wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety znają się nawzajem, co jednak nie staje na przeszkodzie istnieniu skrystalizowanego jądra parzystego. To jądro obowiązuje w życiu codziennem, gdy pary tułają się gromadkami po terytoryum plemiennem, zbiorowość zaś nastaje podczas zborów plemiennych, oraz przy spotkaniu przypadkowem. Formy związku małżeńskiego idą w parze z ustrojem, tak, iż pomiędzy niemi istnieje współrzędność zależna i przyczynowa, jedne zaś więzi dają się wyprowadzić z drugich, przynajmniej dla większości plemion, bo są także stosunki oporne, niepoddające się analizie, o których jedni badacze twierdzą, iż są one pierwotne, inni zaś uważają je za pochodne względem ustrojów, istniejących na lądzie N. Holandyi.

Wzięliśmy Australczyków, jako szczep, niewątpliwie stojący najniżej wśród grup rodu ludzkiego, oraz taki, o którym w żaden sposób nie można twierdzić, że miał przeszłość wyższą, kulturniejszą, jak to trzeba przypuścić dla Veddahów i Fuegieńczyków. Co o nich rzekliśmy, to jeszcze bardziej stosuje się do barbarzyńców, np. czerwonoskórych Ameryki północnej. Jesteśmy tam wszędzie bliżsi początków społecznych, aniżeli gdy porównywamy własne stosunki społeczne z hordą pierwotną, lecz, bądź co bądź, nawet ta bliższość jest jeszcze bardzo odległa od pożycia gromadnego, które istniało w okresie niższej dzikości (jak rzekłby Morgan), a które dzisiaj znikło doszczętnie z powierzchni globu i upiększa swoją nazwą stronice rozpraw z zakresu dziejów kultury.

Atoli ta pra-dzikość, lubo przestała istnieć, jako formacya samodzielna, przecież pozostawiła pewne ślady. Przetrwała ona pod formą przeżytków, które odnajdujemy w społeczeństwie dzikiem. Rodowość australska i nawet amerykańska, jak kawałek bursztynu—owady ówczesne, tak ona zachowała nam szczątki zwyczajów dalekich pra-przodków w obrzędach kultu, przyczem nie zapominajmy, że w życiu pierwotnem kult rozpowszechnia się na wszelkie sfery działalności człowieka. Przeżytek występuje zwykle jako szczegół sprzeczny z założeniem pewnego obrzędu lub jako obojętny jego duchowi. U Australczyków np. wyrostek podlega bardzo ciężkiemu doświadczeniu, w którem winien wykazać hart swojej woli, wytrwałość na głód i niedostatek. Katusze, które są mu zadawane, są więc rzeczą uprawnioną. Ale po co kobiety i nawet mężczyźni śpiewają zaklęcia magiczne, które właśnie mają uczynić operacyę mniej bolesną? Szczegół to, będący w stanowczej sprzeczności z założeniem ceremonii. Albo na co starcy pastwią się nad zarostem młodzieńca, wyrywają go skrupulatnie, jak gdyby pragnęli zetrzeć wszelkie objawy nadchodzącej dojrzałości? Nie poprzestając zaś na tem, posuwają się do takiego okaleczenia chłopca, iż w porównaniu z niem obrzezanie semitów jest znikomą i bardzo łagodną formą. W jakim związku z obrzędem zahartowania są pozorne bójki starców z młodzieżą, wściekłość, jaka ogarnia tamtych, dochodząca do tupania nogami, gryzienia bród własnych, rzucania piaskiem na wyrostków? Są to szczegóły, wyglądające — ze stanowiska celów ceremonii — na niezrozumiałe wtręty. Przedstawiają one właśnie pierwiastek nieracyonalny w obchodzie, mającym ściśle wyznaczone zadanie. Nawet umysł pierwotny, który nie odznacza się przymiotem ścisłego myślenia, niejednokrotnie zrozumiał taką sprzeczność i usiłował nadać jej tłomaczenie, któreby pogodziło rzeczy nawzajem wykluczające się. Jeszcze częściej ogranicza się powołaniem na to, że tak postępowali przodkowie, i że nie wolno mu przeniewierzać się dawnym zwyczajom, lub usprawiedliwia swoje postępowanie wprost obawą następstw, gdyby coś opuścił, zmienił lub przekroczył: włosy zsiwieją przed czasem, kości będą próchniały — wymówka to bardzo dobrze znana folklorystom, świadcząca o tem, że człowiek stracił zupełnie świadomość pożyteczności pewnego postępku i trzyma się zwyczaju tylko pod naciskiem tradycyi. Rzecz to niewątpliwa, że gdyby Australczyka zrobiono *tabulam rasam* pod względem puścizny historycznej, i gdyby wtedy kształtował swoje ceremonie zgodnie z wymaganiami „czystego rozumu,“ tj. rozumu swego istniejącego otoczenia, nigdyby nie wniósł do obrzędu wtajemniczania młodzieży pewnych pierwiastków. Ten żywioł nieracyonalny — to rozum ubiegłych epok historycznych, który wtedy był na właściwem miejscu! Ponieważ w gruncie rzeczy przenika on duchem swoim cały sakrament dopuszczania młodzieńców do obowiązków męskich, ponieważ nadto te absurdy i niedorzeczności historyczne nietylko nie stanowią *membra disjecta*, lecz owszem przedstawiają wyraźne jądro i niekiedy zasłaniają niemal istotne zadanie ceremonii, jesteśmy przeto uprawnieni do wniosku, iż instytucya owa powstała z postępków gromadnych, dążących pierwotnie do zgoła innych celów. Istniały pewne potrzeby, które stworzyły zwartą grupę czynów. Z biegiem czasu zniknęły one, lub raczej przerodziły się w inne, do pierwotnego obrzędu wsiąknęły nowe pierwiastki, racyonalne ze stanowiska nadchodzącej epoki, dawne zaś uległy częściowemu rozprzężeniu, częściowo zaś pozostały, niekiedy jakoś dopasowane do nowego celu, czasami nawet pozbawione takich pozorów. Ceremonia nadawania wyrostkom godności męskiej była pierwotnie — jak to udało nam się dociec — aktem prześladowania dorastających chłopców przez starsze pokolenie samców.

Pewna grupa przeżytków doprowadziła nas przeto do odcyfrowania bardzo ważnego rysu społeczeństwa pra-dzikiego — rysu, którego doniosłość ocenimy w całej pełni dopiero w dalszym toku naszych wywodów. Okaże się tam, że tylko co wspomniane współzawodnictwo było punktem wyjścia nietylko dla rozdzielenia społeczeństwa na generacye starszą i młodszą, ale także doprowadziło prawdopodobnie do zakazu obcowania małżeńskiego pomiędzy rodzeństwem. Inne, podobnego rodzaju szczątki i przeżytki pozwolą nam poznać inne strony gromady pierwotnej. Zresztą zadanie to trudne i ryzykowne, bo nic łatwiejszego, niż uledz wpływowi uprzedzeń i własnego subjektywizmu i wziąć za rzeczywistość to, co jest tylko płodem rozigranej wyobraźni. Grozi zaś nietylko takie niebezpieczeństwo. Ażeby dojść do wniosków, które winny nam odtworzyć prawdziwą gromadę z jej zwyczajami i stosunkami, trzeba rozporządzać materyałem, który nie pozostawia żadnej wątpliwości pod względem swojej wiarogodności. Przeszkoda to bardzo ważna, której nie można usunąć. Pozostaje więc tylko poprzestać na tych stronach życia, w których zakresie istnieje materyał krytyczniej zebrany. Mamy zamiar przedstawić w paru szkicach wnioski, do których doszliśmy, wyodrębniając zpośród innych te rysy społeczeństwa dzikiego, które uznaliśmy za przeżytki epoki wcześniejszej. Nie będzie to obraz dokładny, ale, bądź co bądź, dotychczas jedyny, gromady pra-dzikiej.

Gromada pra-dzika? Czyż można więc przypuścić, że w owej zamierzchłej przeszłości stosunki na przestrzeni globu ukształtowały się jednakowo?

Wróćmy jeszcze raz do Australczyków. Zaznaczyliśmy, że istnieją tam różne ustroje, z których jedne można uważać za pierwotne, inne zaś za pochodne. Ale nie wszystkie pozwolą się uszeregować w rząd rodowodowy. Są tam więzi społeczne, wprawdzie stojące bardzo nisko, ale tak wytworzone, że z nich z trudnością mogą wyłonić się inne, uchodząco za pochodne. Większość plemion australskich przebywała fazę stosunków małżeńskich zbiorowych, takich, jakie istnieją jeszcze u Dyjerów, ale ustrój tego tylko co wymienionego plemienia nie jest już tą przeszłością — jest formą, polegającą na usystematyzowaniu pierwotnego bezładu. Organizacya dyerska powstała niewątpliwie dla wzięcia w karby wyuzdania dzikiego, ale właśnie że to zrobiła, tem samem nadała gromadności obcowania małżeńskiego charakter stały, innemi słowy: utrwaliła przeszłość. W ostatecznym rezultacie kilkoletnich poszukiwań doszliśmy do wniosku, że każde plemię australskie jest specyficznym organizmem historycznym, który rozwija w sposób „dyalektyczny“ tkwiące w nim pierwiastki i w tym żywiołowym rozwoju niekiedy dochodzi do napiętego antagonizmu pomiędzy zasadami swojej ustawy a potrzebami życia. Nastaje chwila przewrotu, której psychologia jest niemniej ciekawą, niż zadziergnie węzła. W ukazaniu się takiej różnobarwności znaczną rolę odegrał „przypadek,“ tj. wiele drobnych okoliczności, chociażby np. obecność wybitnego znachora, który skrystalizował żywiołowo dążenia w zapowiedź plemienną i skrępował takiem ucieleśnionem słowem dalszy czyn. Zresztą zaznaczając istnienie różnic, nie trzeba zanadto przesadzać ich doniosłości.

Przechodząc od szczepu dzikiego, jeszcze przed kilku dziesiątkami lat zaludniających N. Holandyę, do gromadek koczującego po powierzchni ziemi w okresie pra-dzikości, winniśmy oczekiwać także pewnej rozmaitości. Wysnuwamy to twierdzenie nie dlatego, ażebyśmy uważali je za wypływające z faktów życia australskiego — w tym razie niema tam związku przyczynowego, przymioty więzi społecznej australskiej a niejednolitość stosunków w pra-dzikości są to dwie kategorye nawzajem niezależne. Są inne przyczyny, zniewalające nas do przypuszczenia pewnej odmienności zwyczajów wśród pra-ludzi. Ale nim zastanowimy się nad niemi, winniśmy jeszcze na jedno zwrócić uwagę. Im dłuższe jest samodzielne życie społeczne pierwotnie pokrewnych plemion, nawet będących w tych samych warunkach rozwoju, tem więcej rysów odmiennych, charakterystycznych, przybiera fizyognomia każdego z nich, „duch plemienny“ — jak rzekłby Lazarus. Rzecz to zrozumiała. To cośmy nazwali przypadkiem historycznym, działa odmiennie w każdem zróżniczkowanem środowisku. Czynnik ten, dokonawszy czegoś w jednem pokoleniu, stwarza już dla czynów drugiego pewne podścielisko historyczne, które zaczyna w dalszym rozwoju wywierać już swoje skutki. Im dalej cofamy się w przeszłość, tem puścizna ta jest szczuplejsza. Prostota stosunków społecznych, właściwych Australii, świadczy, że działanie „przypadku“ było, bądź co bądź nieznaczne, w gromadzie zaś pra-dzikiej było ono jeszcze skromniejsze. Różnice pomiędzy oddzielnemi hordami, o ile istniały, zależały od obfitości źródeł utrzymania. Są okolice bardzo niegościnne, w których człowiek musiał się tułać drobnemi gromadami, jedna od drugiej znacznie odległa. Istnieją inne, w których, przynajmniej w pewnych porach roku, jest tyle pożywienia, że starczy go dla bardzo licznej rzeszy, przyczem długość takich okresow była czynnikiem bardzo wielkiego znaczenia. Wreszcie mogły istnieć tak uprzywilejowane okolice, że dość wielkie gromady zdołały trzymać się pospołu w ciągu niemal całego roku.

Ujrzymy niebawem skutki tych warunków otoczenia w zakresie kształtowania pierwotnych związków małżeńskich.

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

H. F. Brown: *J. Addington Symonds*, a biography, Londyn, 1895. — Fr. Harrison: *J. A. Symonds* (*Nineenteenth Century*, Avril, 1896).

Ludzie talentu znajdują uznanie wnet po śmierci, gdy świat jest ostatecznie przekonany, iż nic ich wskrzesić już nie zdoła. Mało kto słyszał o Symondzie za życia; obecnie, gdy umarł, stawiają go na równi z Ruskinem i M. Arnoldem, uważając za jednego z największych krytyków artystycznych i literackich Anglii.

Przez całe życie wyznawał jedną tylko cześć — dla piękna. Jakąż odwagę trzeba mieć, aby kłaść na siebie togę takiego kapłaństwa w naszych czasach, gdy blaga uśmiechnięta i jednolita stara się wszystko zmniejszyć, jest przeczeniem wszystkiego, co wielkie i piękne, przenosi gaz nad światło słoneczne, szyderczo chichocze przy słowach: talent lub geniusz. Jeżeli wytrwał w zadaniu i pozostawił obfite plony swej pracy, przypisać to należy temu, iż przez życie całe pozostawał zdala od much jarmarcznych, zwanych współcześnikami, zamknąwszy się starannie w samotni alpejskiej.

Szkic autobiograficzny, ogłoszony obecnie przez Browna, odsłania nam, jak surową walkę o byt Symonds musiał toczyć od najmłodszego swego dzieciństwa. Słabość zdrowia kazała mu spędzić większą część życia na obczyznie, a nawet obrać za miejsce stałego pobytu, w ciągu ostatnich lat dwudziestu, pustelnię Davos'u. Jego szkice filozoficzne noszą motto bardzo suggestywne: „Samotność sprzyja badaniu prawdy“. „Z samotności — powiada — jak z wieży zrujnowanej, śledziłem przez długie lata świat myśli, warunków i czynu.“ Był wolny od szmeru ludnych miast i ukształconego towarzystwa—dzięki temu pozostawił czterdzieści dzieł, które są wyrazem myśli głębokiej i niezależnej. Wątpić należy, czy, żyjąc w towarzystwie swych rówieśników umysłowych, mógłby się stać wielkim pisarzem. Myśl, bujająca wolno i śmiało, jak płomień lub powiew wiatru, gdy przemawia do osób oddalonych o kilka tysięcy kilometrów, czuje się natomiast skrępowaną i bojaźliwą, gdy ma się otrzeć o spojrzenia jadowite tuż znajdujących się bliźnich i rodaków. To też ciśnienie stada społecznego jest tak potężne, że ono poleruje i unicestwia słabsze indywidualizmy, tylko największe mogą się ostać, ale wówczas muszą szukać uznania dopiero u potomności.

Do trzydziestego piątego roku życia Symonds podróżował po Europie i pozostawił ślady swych pielgrzymek w słynnych „Sketches in Italy and Greece“ (1874) i „Sketches and studies in Italy“ (1879). Są to wspomnienia i opisy najrozkoszniejszych widoków włoskich i greckich. Symonds spogląda na opisywane sceny okiem malarza i zarazem dziejopisa. To połączenie krajobrazu i historyi daje wizerunki dokładne i delikatne, które raz na zawsze pozostają w umyśle czytelnika. Jest to idealny przewodnik po Włoszech i Atenach dla ludzi inteligentnych, gdyż rozmaitość i pełnia wiedzy, zawarte w tych „Szkicach,“ czynią je niedostępnymi dla większych kół czytających — dzięki ustępom z greckiego, łaciny, włoskiego; ale krajobraz nie jest przyniesiony w ofierze historyi: są tam zachody słońca, szum fal i snopy kwiatów. Pod pewnym względem opisy Symondsa przewyższają nawet te, które dali poprzednio Freeman, Ruskin i G. Eliot. Freman nie posiada poezyi i barw Symondsa. Eliot nie ma jego łatwości i wdzięku w improwizowaniu, a Ruskin z całym swym geniuszem barw i formy, nie ma tak potężnego ujęcia historyi, w jej związku filozoficznym.

Ale i „Szkice“ Symondsa posiadają pewne braki: nie ma w nich prostoty i spokoju, są nazbyt stale kwieciste i obficie ubarwione. Zyskałyby wiele, gdyby było w nich więcej światłocienia, a tu wciąż koloryt gorący, żywy, ornamentacya zbytkowna, styl entuzyastyczny. Wszystko to jest pełne smaku i elegancyi, ale nazbyt monotonne. Dodać nareszcie trzeba, iż wszystkie te opisy są tylko obrazami tego, co było widziane, nie zaś wspomnieniami tego, co było odczute. Otóż słowa mogą odmalować scenę tylko w pewnych określonych granicach; wzruszenie, które ona wzbudza, jest niezbędnie potrzebne dla pełni poznania. I pod tym względem Ruskin stoi wyżej od Symondsa: mówi nam nietylko, co widział we Włoszech, lecz także, co czuł. Symonds tej sztuki nie posiada, dlatego też nie umie odtworzyć wszystkich efektów danego widoku.

Jednocześnie Symonds zajmował się w tym okresie swego życia analizowaniem poezyi greckiej. Jego dwie serye „Poetów greckich“ (*Greek Poets* 1873, 1876) są dziełami klasycznemi i cieszą się zasłużonem uznaniem. Był jednym z najlepszych znawców angielskich w tej sprawie, a nikt z innych nie posiadał tak świetnego stylu w jej opracowaniu. Posiada sztukę ożywiania dawno umarłych poetów, malując sceny z ówczesnego bytu. Słynne są jego opisy świąt olimpijskich, które były igrzyskami ludowemi w pełnem znaczeniu tego słowa, ale zarazem uświęconemi przez religię, udogodnionemi przez dumę narodową, upiększonemi przez sztukę. I maluje żywą scenę w pełni letniego południa, tłumów pielgrzymów i deputatów, ambasadorów i atletów, mędrców, historyków, poetów, malarzy, rzeźbiarzy, wróżbiarzy i mężów stanu — wszystko to ciągnie ku świątyni Zeusa, przed arcydzieło Fidyasza.

„Szkice“ te są zbiorem studyów nieuporządkowanych ani chronologicznie, ani analitycznie: Teokryt i Antologia zajmują pierwszą seryę, Homer i Eschylos — drugą. I tu także styl jest nazbyt trwale malowniczy i wymowny; ugina się często pod ciężarem własnej swej ornamentacyi. Niema tu jednak nic banalnego, i owszem, wszystko jest świeże i delikatne — jest to tylko nadmiar obfitości.

Klasycznem jednak dziełem Symondsa jest „Italian Renaissance“ („Odrodzenie włoskie“) w siedmiu tomach, które zajęły mu 11 lat pracy (1875—86). Jest to nietylko przegląd literatury i sztuki włoskiej z wielkiej epoki, która trwała trzy wieki, ale także szereg wyczerpujących studyów o Petrarce, Boccaccio, humanistach, Leonardzie, Cellinim, Arioście, Tassie i innych. Oprócz tego Symonds napisał kilka traktatów specyalnych o niektórych artystach Renaissance'u. Tu należą: „Michel-Angelo“ (93) w 2 t., „Benvenuto Cellini“ (89) w 2 t., „Boccaccio“ (94) w 1 t., tom o Dantem itd. We wszystkiem, co pisał o sztuce włoskiej, Symonds dał dowody dojrzałej wiedzy, wytrawnego sądu, ale zarazem jednostronności. Tu w sposób naturalny nasuwa się porównanie jego poglądów z poglądami Ruskina: są tak niezgodne i tak sprzeczne!

Odrodzenie pogaństwa, ten przedmiot oburzenia Ruskina jest dla Symondsa przedmiotem zachwytów. Możnaby nawet sądzić, że ten ostatni starał się we wszystkich swych sądach zająć stanowisko wprost odwrotne, niż wielki jego współzawodnik. W każdym razie przyznać należy, iż obaj posiadają dokładną znajomość epoki, o której piszą — Ruskin jako malarz i poeta genialny, Symonds, jako historyk i artysta wielkiej wiedzy i staranności. Ruskin odznacza się największym zapałem, Symonds — chłodnym rozsądkiem i smakiem doskonałym. Pierwszy spogląda na rzeczy z punktu widzenia chrześcianina średniowiecznego, drugi — z punktu widzenia nauki i teoryi rozwoju. Właściwie obaj oni doskonale się dopełniają. Ruskin wykazał katolicką i szlachetną rycerskość XIII wieku, Symonds — humanitaryzm i naturalizm XV i XVI. W swych napaściach są natomiast obaj niesprawiedliwi: ten ostatni, gdy się oburza namiętnie na przesądy i nieludzkość wieków średnich; tamten, gdy wyklina Renaissance, nowo-klasycyzm, humanitaryzm. Dla Ruskina epoka odrodzenia była tylko epizodem, rodzajem plagi miejscowej, dla Symondsa — ogniskiem wspaniałego powrotu ku prawdzie i pięknu, po długiej, ciemnej nocy. Te sprzeczności dwu wielkich pisarzów pokazują nam wszystkie braki i całą powierzchowność metody literackiej, jej zachwytów i nagan. Krytyka staje się jakimś stekiem osobistych widzimisię i uprzedzeń. Właściwy punkt oparcia znajdzie ona chyba kiedyś w socyologii. Moralne zepsucie Odrodzenia, które tak przestrasza Ruskina i każe mu zapomnieć o całem znaczeniu historycznem i artystycznem tej epoki,

było tylko objawem pewnej dysocyacyi społecznej, która pozwoliła wystąpić na plan pierwszy jednostce i utworzyć sztukę. Nie trzeba zapominać, iż ta ostatnia wyrasta zawsze na gnoju moralnym! Ruskin ten wstręt do niemoralności Renaissance'u przeniósł i na jego sztukę. Gdy natomiast wieki średnie były epoką organiczną podboju, spętania jednostki i jednocześnie rozkwitu moralności. Ruskin przeniósł swe moralne zadowolenie z tej epoki i na jej sztukę, która dała niewątpliwie wiele rzeczy pięknych, ale ostatecznie, jak na tak długi okres, była dość ubogą, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę, iż zaliczają doń zwykle wiele zjawisk artystycznych, które należą raczej do wczesnego Renaissance'u. Wygórowane zachwyty sztuką średniowieczną z ostatnich czasów są w znacznym stopniu dziełem Ruskina i zarazem wielkiem nieporozumieniem, odblaskiem doskonałości moralno-społecznej tej epoki. Nie idzie zatem, aby wraz z Symondsem nie trzeba było widzieć nic wielkiego w jej sztuce i odnosić się z pogardą do wiary, która ugrzęzła w przesądach, i do kościoła, który skończył w zupełnem zepsuciu. Dodać należy, iż Symonds często sam uskarżał się na braki swego ukształcenia, które było czysto literackie i artystyczne, dlatego też w swym „Italian Renaissance" pozostawia zupełnie na uboczu stronę społeczną tej epoki, a zupełnie prawie nie wspomina o jej nauce i filozofii. Nie jest to więc, właściwie mówiąc „Odrodzenie włoskie," lecz tylko analiza jego literatury i sztuki.

Dopiero pod koniec życia wyszedł z ciasnych ramek literackich i zajął się filozofią moralną i społeczną. Dwa tomy „Essays Speculative and Suggestive" (1890) świadczą o rezultatach tej pracy. Są tu szkice o „Ewolucyi," o „Zastosowaniu jej do literatury i sztuki," o „Dziedzinach i stosunkach sztuk," o „Zasadach krytycyzmu," o „Stylu i jego historyi," o „Ekspresyi," o „Karykaturze" itd. Wszystko to jest interesujące, ale nie nowe i pisane w stylu prostym i wdzięcznym. Nareszcie w „Autobiografii" i „Listach" Symonds rozprawia o kwestyach filozoficznych; jest agnostykiem i skłania się ku panteizmowi w duchu Goethego i Darwina. Praktyczna jego filozofia zawartą była w słowach Goethego: „Im Guten, Ganzen, Schönen resolut zu leben."

Wspomnijmy nareszcie o „Poezyach" Symondsa, których wyszło tomów sześć, a nie mniej pozostało w rękopisie. Pracował na tem polu z wytrwałością, często był nagradzany, ale pomimo to wszystko poetą nie był. Przyznaje się do tego otwarcie w „Autobiografii:" „Nie mam — powiada — nieuniknionego dotknięcia (touch) poety." Jego utwory są bogate w myśli, pełne wdzięku, interesujące, często patetyczne, a nawet piękne. Niema tam błędów, ani banalności, ani jednej nuty fałszywej, ale pomimo to nie napisał — jak sam powiada — ani jednej linii, którąby była istotnie wielką. Jego grzechem pierworodnym była „fatalna łatwość." Był wybitnym pośród poetów drugorzędnych. „Ale czy świat wogóle potrzebuje poetów drugorzędnych?" — zapytuje z powątpiewaniem. Do jednego ze swych przyjaciół pisał przed śmiercią: „Pewne odcienie myśli i uczucia, nigdy przezemnie nie wyrażone w druku, żyją pewno w pamięci ludzi, jak Pan." Najlepsza część naszej duszy zwykle w taki sposób ginie...

L. W.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Działalność Banku włościańskiego

w granicach gubernii Radomskiej.

III.

We wszystkich 67 sprzedażach ilość mórg przez *jednego* kolonistę na-bytych przedstawia się w następujących cyfrach, mianowicie kupili:

Osób	po mórg	razem	Osób	po mórg	razem
1	67½	67½	5	14½	72½
1	61	61	48	14	672
1	49½	49½	1	13¾	13¾
1	39	39	7	13	91
1	37½	37½	27	12½	337½
4	32	128	67	12	804
4	31	124	2	11¼	22½
6	30	180	138	11	1,518
2	28½	56½	14	10½	147
2	27½	55	427	10	4,270
1	26½	26½	41	9¾	399¾
2	26	52	16	9	144
2	25	50	26	8½	221
1	24	24	123	8	984
1	23	23	138	7½	1,035
1	22½	22½	49	7	343
17	21	357	62	6½	403
24	20	480	58	6	348
2	19½	39	6	5½	33
4	19	76	81	5	405
3	18	54	7	4½	31½
1	17½	17½	31	4	124
4	17	68	13	3½	45½
3	16½	49½	16	3	48
50	16	800	5	2¼	11¼
20	15½	310	16	2	32
222	15	3,330	1	1	1

Razem 1,831 osadników, 19,120 mórg, wspólna własność wynosi 461 mórg, wogóle mórg 19,581.

Z powyższego wyrazu widać, że *najwięcej* sprzedano osad 10 morgowych, następnie: 15 morgowych, 11 morgowych, 7½ morgowych, 8-o i 6-o morgowych, które to zjawisko znajdujemy również i w zwykłych sprzedażach parcelacyjnych bez udziału Banku włościańskiego. Lecz tam znowu osady takie ulegają częstym rozdrabnianiom, tutaj zaś, w przeciągu całego, blisko 6 letniego okresu, zaledwie pięciu osadników prawa swe na rzecz innych nabywców scedowało, i to za specyalnym, wedle Ustawy, zezwoleniem Banku.

Prócz wymienionych 67 tranzakcyj, w dalszym ciągu znajduje się dotąd w referacie jeszcze dwadzieścia takich sprzedaży, w których przedmiocie zapewne jeszcze w roku bieżącym akty urzędowe notaryalne zawarte będą, mianowicie: w pow. *Iłżeckim* grupa Pokrzywnica, w *Końskim* grupy: Trojanowice, Dorobna wieś, Zawonia; w *Kozienickim* Nowy Gruszczyn, Nowy Chmielów, Gruszczynek, Grabna Wola; w *Opatowskim*: Podgórze, Jakubowice, Piskrzyn; w *Opoczyńskim*: Ludwików, Stoczki *B*, Stużno *A* i *B*; w *Radomskim*: Broniów, Kruszyny, Dąbrowa Wieniawska, Julianów, Sokolniki suche. Ponieważ zaś włościanie uczestniczący w sprzedażach zwolnieni są od opłat tak zwanych „krepostnych i aktowych" za przejście tytułu własności, co znacznie ułatwia nabycie gruntów i zmniejsza koszty, przeto nie ulega wątpliwości, że z każdym rokiem podobne tranzakcye w coraz większej ilości napływać będą. O dotychczasowym zaś postępie tych parcelacyj uczy nas poniższe zestawienie:

Rok 1890. Powiat Kozienicki: grup 1, os. 39, dz. 200, sąż. 1,390, mórg 391, szac. 27,390, poż. 17,500, dopł. 9,897. Razem: grup 1, os. 39, dzies. 200, s. 1,390, m. 391, szac. 27,397, p. 17,500, dopł. 9,897.

Rok 1891. Powiat Opoczyński: grup 1, os. 24, dz. 141, s. 1,840, m. 277, sz. 14,511, poż. 10,370, dopł. 4,141; Radomski: gr. 1. os. 18, dz. 129, s. 341, m. 252, szac. 9,930, p. 8,885, dopł. 1,045. Razem: grup 2, os. 42, dz. 270, s. 2,181, m. 529, szac. 24,441, poż. 19,255, dopł. 5,186.

Rok 1892. Powiat Iłżecki: gr. 1, os. 19, dz. 107, s. 254, m. 210, szac. 10,500, poż. 8,500, dopł. 2,000; Opatowski: gr. 1, os. 46, dz. 181, s. 2,009, m. 355, szac. 35,100, poż. 23,000, dopł. 12,100; Opoczyński: grup 3, os. 93, dz. 426, s. 186, m. 831, szac. 39,210, p. 33,525, dopł. 5,685; Sandomierski: gr. 1, os. 29, dz. 166, s. 1,330, m. 325, sz. 24,374, p. 13,325, dopł. 11.049. Razem: gr. 6, osób 187, dz. 881, s. 1,379, m. 1,721, sz. 109,134, p. 78,350, dopł. 30,834.

Rok 1893. Powiat Iłżecki: gr. 1, os. 34, dz. 192, s. 36, m. 375, sz. 16,897, p. 14,000, dopł. 2,897; Kozienicki: grup 2, os. 35, dz. 205, s. 2,045, m. 401, sz. 10,066, p. 9,168, dopł. 898; Opoczyński: gr. 3, os. 69, dzies. 421, s. 1,067, m. 825, sz. 42,088, p. 32,750, dopł. 9,338; Radomski: gr. 1, os. 37, dzies. 276, m. 539, sz. 12,716, p. 9,000, d. 3,716. Razem: gr. 7, os. 175, dzies. 1,095, s. 748, m. 2,140, sz. 81,767, p. 64,918, d. 16,849.

Rok 1894. Powiat Iłżecki: gr. 5, os. 133, dz. 1,013, saż. 2,118, m. 1,978, szac. 71,466, p. 51,024, dopł. 20,442; Koński: gr. 3, osób 55, dz. 334, s. 1,265, m. 653, szac. 29,016, p. 22,180, dopł. 6,836; Kozienicki: grup 2, os. 51, dz. 329, s. 1,727, m. 643, sz. 27,804, p. 21,850, dopł. 5,954; Radomski: gr. 7, os. 194, dzies. 1,229, sąż. 2,014, m. 2,398, szac. 126,583, p. 83,252, dopł. 43,331. Razem: gr. 17, os. 433, dz. 2,907, s. 2,324, m. 5,672, sz. 254,869, p. 178,306, dopł. 76,563.

Rok 1895. Powiat Iłżecki: gr. 1, os. 27, dz. 137, s. 820, m. 268, sz. 13,500, p. 10,300, dopł. 3,200; Koński: gr. 1, os. 10, dzies. 53, s. 491, m. 104, sz. 5,372, p. 3,440, d. 1,932; Kozienicki: gr. 5, os. 124, dz. 590, s. 659, m. 1,151, sz. 47,541, p. 39,669, dopł. 7,872; Opoczyński: gr. 10, os. 198, dzies. 990, sąż. 1,483, m. 1,931, sz. 78,615, p. 63,498, dopł. 15,117; Radomski: gr. 4, os. 158, dzies. 984, s. 882, m. 1,924, szac. 104,074, poż. 69,300, dopł. 34,774; Sandomierski: gr. 3, os. 56, dz. 253, s. 1,555, m. 495, szac. 23.904, poż. 18 698, dopł. 5,206. Razem: gr. 24, os. 573, dzies. 3,009, s. 1,090, m. 5,873, sz. 273,006, p. 204,905, dopł. 68,101.

Rok 1896. Powiat Iłżecki: gr. 2, os. 89, dz. 424, s. 1,309, m. 830, szac. 53,268, poż. 41,500, dopł. 11,768; Kozienicki: gr. 1 os. 33, dzies. 54, s. 2,160, m. 107, szac. 18,430, p. 14,430, dopł. 4,000; Opatowski: gr. 1, os. 15, dz. 52, s. 1,815, m. 103, sz. 10,200, p. 7.500, dopł. 2,700; Opoczyński: gr. 2, os. 101, dz. 488, s. 2,335, m. 955, sz. 58,260, p. 44,490, dopł. 13,770; Radomski: gr. 4, os. 144, dzies. 645, s. 1,079, m. 1,260, szac. 79,915, p. 60,530, dopł. 19,385. Razem: gr. 10, os. 382, dzies. 1,666, s. 1,498, m. 3,255, sz. 220,073, p. 168,450, dopł. 51,623.

Plus wyżej wymienione 20 tranzakcyj i plus te, które jeszcze zawarte być mogą. Zwiększenie się więc tego rodzaju sprzedaży, z każdym rokiem, jest aż nadto widoczne.

Zebranie ogólne.

Rok 1890: gr. 1, os. 39, dz. 200, s. 1,390, m. 391, szac. 27,397, p. 17,500, dopł. 9,897; r. 1891: gr. 2, os. 42, dzies. 270, s 2,181, m. 529, szac. 24,441, p. 19,255, dopł. 5,186; r. 1892: gr. 6, os. 187, dzies. 881, s. 1,379, m. 1,721, szac. 109,184, p. 78,350, d. 30,834; r. 1893: gr. 7, os. 175, dz. 1,095, s. 748, m. 2,140, szac. 81,767, p. 64,918, dopł. 16,849; r. 1894: gr. 17, os. 433, dz. 2,907, s. 2,324, m. 5,672, szac. 254,869, poż. 178,306, dopł. 76,563; r. 1895: gr. 24, os. 573, dz. 3,009, s. 1,090, m. 5,873, szac. 273,006, p. 204,905, dopł. 68,101; r. 1896: gr. 10, os. 382, dzies. 1,666, s. 1,498, m. 3,255, szac. 220,073, poż. 168,450, dopł. 51,623. Razem: grup 67, os. 1,831, dz. 10,032, s. 1,010, m. 19,581, szac. 990,737, p. 731,684, dopł. 259,053.

Nadmienić tu wypada, że ruch parcelacyjny w gubernii Radomskiej od 1891 roku nie ogranicza się na samych sprzedażach za pośrednictwem Banku włościan-

skiego, lecz trwa on dalej i bez jego pomocy w daleko większych rozmiarach. Obraz zaś tego procesu wkrótce przedstawię w oddzielnym referacie do wiadomości ogółu.

Pozostaje teraz jeszcze uczynić porównanie dawnego ruchu parcelacyjnego ze sprzedażami bankowemi, dlatego też zajrzyjmy do mojej poprzedniej pracy, z której wyciągniemy następujące dane i wnioski.

I. a) Najwyższe ceny szacunkowe jednej włóki.

Parcelacye dawne, zwyczajne: Powiat Iłżecki cena jednej włóki 4,500, 3,450 rs.; powiat Koński — 3,370 rs.; powiat Kozienicki — 9,360, 8,550, 6,000, 4,500, 3,540, 3,000 rs.; powiat Opatowski—5,800, 5,500, 3,500, 2,500 rs.; pow. Opoczyński — 2,400, 2,300 rs.; pow. Radomski — 5,800, 3,150, 3,000, 2,850, 2,400 rs.; powiat Sandomierski — 3,980, 3,550, 3,485 rs.

Parcelacye za pomocą Banku: Powiat Iłżecki, cena włóki 3,030, 1,590 rs.; powiat Koński — 1,530 rs.; powiat Kozienicki — 5,160, 2,100, 2,0 0 rs.; pow. Opatowski — 3,000 rs.; powiat Opoczyński — 2,220 2,000 rs.; pow. Radomski — 2,400, 2,250 2,100 rs.; powiat Sandomierski — 2,400 rs

b) Najniższe ceny jednej włóki

Parcelacye dawne, zwyczajne: Powiat Iłżecki, cena włóki 200, 300, 350, 500 rs.; powiat Koński — 220, 330 rs.; powiat Kozienicki — 92, 300, 450 rs.; powiat Opatowski — 275, 300 rs.; powiat Opoczyński — 280, 322, 425, 500 rs.; powiat Radomski — 225, 585 rs.; powiat Sandomierski — 465, 570 rs.

Parcelacye za pomocą Banku: Powiat Iłżecki, cena włóki 600, 1,050 rs.; powiat Koński — 1,290 rs.; powiat Kozienicki — 390, 750 rs.; powiat Opoczyński — 510, 570, 690 rs.; powiat Radomski — 690, 780, 900 rs.; powiat Sandomierski — 1,320 rs.

c) Przeciętne ceny jednej włóki (str. 40 broszury).

Parcelacye dawne, zwyczajne: Powiat Iłżecki, cena włóki 1,110 rs.; powiat Koński — 930 rs.; powiat Kozienicki — 1,000 rs.; powiat Opatowski — 1,290 rs.: powiat Opoczyński — 1,100 rs.; powiat Radomski — 1,200 rs; powiat Sandomierski — 1,680 rs.

Parcelacye za pomocą Banku: Powiat Iłżecki, cena włóki 1,350 rs.; powiat Koński — 1,350 rs.; pow. Kozienicki — 1,440 rs.; powiat Opoczyński — 1,440 rs.; powiat Radomski — 1,560 rs.; powiat Sandomierski — 1,800 rs.

Z powyższego wykazu widzimy, że *ceny* gruntów przy sprzedażach bankowych są przeciętnie *wyższe* o 25%, niż przy sprzedażach zwykłych do końca 1890 r. praktykowane.

II. Wedle wykazu dawniejszego ruchu parcelacyjnego *najwięcej rozkolonizowano* gruntów w pow. Radomskim (53,500 mórg), następnie Kozienickim (29,700), Iłżeckim (28,900), Opoczyńskim (17,400), Opatowskim (6.600 m.), Sandomierskim (5,820), *najmniej* w Końskim (5,180 m.). Obecnie zaś porządek ten zmienia się w ten sposób: *najwięcej* w pow. Radomskim 6,373 mórg, następnie Opoczyńskim 4,819 mórg, Iłżeckim 3,661 mórg, Kozienickim 2,693 mórg, Sandomierskim 820 mórg, Końskim 757 mórg, *najmniej* w Opatowskim 458 mórg.

III. Na jednego osadnika dawniej przeciętnie wypadało w pow. Iłżeckim po $13\frac{1}{4}$ m., w pow. Końskim 16 mórg, Kozienickim $12\frac{1}{2}$, w Opatowskim $7\frac{1}{2}$, w Opoczyńskim $18\frac{1}{2}$, Radomskim $16\frac{1}{3}$ i Sandomierskim zaś $9\frac{1}{2}$ — w sprzedażach bankowych wypada na jednego kolonistę przeciętnie: w powiecie Iłżeckim 12 mórg, Końskim 12, Kozienickim $9\frac{1}{2}$, Opatowskim $7\frac{1}{2}$, Opoczyńskim 10, Radomskim $11\frac{3}{4}$ m., Sandomierskim około 10 mórg. W całej gubernii przeciętnie dawniej wypadło po 13 mórg na jednego, teraz po $10\frac{1}{2}$ morgi na jednego nabywcę.

IV. Szacunku na jednego kolonistę w dawnych parcelacyach jednego wypadało przeciętnie: w powiecie Iłżeckim po 483 rs., w Końskim 500 rs., Kozienickim 418 rs., Opatowskim 322 rs., Opoczyńskim 680 rs., Radomskim 644 rs. i Sandomierskim po 530 rs., w całej zaś gubernii po 510 rs. na jednego. Obecnie zaś wypada przeciętnie w pow. Iłżeckim po 548 rs., Końskim 529 rs., Kozienickim 465 rs., Opatowskim 742 rs., Opoczyńskim 479 rs., Radomskim 605 rs. i Sandomierskim 390 rs., a w całej gubernii przeciętnie po 551 rs. szacunku na jednego nabywcę.

V. Całowitych majątków rozparcelowano przy pomocy Banku 17 — części za⁴, przy pozostawieniu reszty przy dawnym właścicielu, z 50 dóbr.

VI. Odłużenie jednej morgi w zwykłych sprzedażach kolonialnych wypadało przeciętnie w pow. Iłżeckim na 11 rs. wobec średniego szacunku morgi 37 rs., w pow. Końskim na 10 rs. wobec szacunku 31 rs., w Kozienickim na 9 rs. wobec szacunku 34 rs., w Opatowskim 20 rs. wobec szacunku 43 rs., Opoczyńskim 13 rs. wobec szacunku 37 rs., w Radomskim 11 rs. wobec szacunku 40 rs. i w Sandomierskim 16 rs. wobec szacunku 56 rs. Obecnie z powodu pożyczki bankowej toż odłużenie wypada przeciętnie w pow. Iłżeckim na 34 rs. na morgę wobec szacunku 45 rs., w Końskim na 34 rs. wobec szacunku 45 rs., w Kozienickim na 38 rs. wobec szacunku 48 rs., Opatowskim na 66 rs. wobec szacunku 100 rs., w pow. Opoczyńskim na 38 rs. wobec szacunku 48 rs., w Radomskim na 36 rs. wobec szacunku 52 rs., w Sandomierskim na 40 rs. wobec szacunku 60 rs. Przeciętnie wypadało dawniej długu, w całej gubernii, po 12 rs. na morgę wobec szacunku 39 rs., obecnie wypada po 41 rs. długu na morgę wobec szacunku 57 rs.

Obciążenie więc ówczesne wynosiło około 32%, dziś około 71%.

Jan Romanowski.

W DALI.

Radom. Z liczby 66 majątków, wystawionych na sprzedaż za zaległości w opłacie rat Tow. kred. ziemsk., sprzedano w gub. Radomskiej 3, co do 9 licytacya nie doszła do skutku i odbędzie się powtórnie w październiku; reszta dóbr uregulowała rachunki. Sprzedano dobra: Politów za 10,200 rs. (350 mórg i 177 pr.), Strykowice Podleśne za 13,500 rs. (177 mórg i 267 pr.), oraz Smogorzew za 52,104 rs. (1,361 mórg i 56 pr.). Nabywcami są Żydzi. — W dniu 1-ym marca r. p. kwalifikuje się do sprzedaży za niezapłacenie rat temuż Towarzystwu 51 majątków. — W dniu 8-ym b. m. odbędzie się w Radomiu jednodniowa wystawa koni, oraz rozpocznie się czterodniowa wystawa owoców, warzyw i roślin przemysłowych.

Łódź. W tych dniach odbyło się nadzwyczajne ogólne zebranie członków stowarzyszenia subjektów handlowych. Między innemi postanowiono utworzyć posadę stałego bibliotekarza z wynagrodzeniem 300 rs. rocznie. Od d. 1-go p. m. rozpoczną się w tem stowarzyszeniu bezpłatne lekcye stenografii dla członków. — Przed kilku dniami cena bawełny w Łodzi podskoczyła w górę, jak zapewniają, wskutek spekulacyi. — Dnia 29 z. m. otwarto nowy zakład leczniczy, chirurgiczny i ginekologiczny, przy ul. Południowej, z komfortem i według wszelkich zasad hygieny i antiseptyki.—Czytamy w *Kuryerze codz.*, iż piotrkowski sąd okręgowy na własne żądanie firmy „Dzierżawski i Rasiński“ w Zgierzu ogłosił jej upadłość; wierzeciele tej firmy podobno poniosą nieznaczne straty. — Przemysłowiec łódzki, J. Kunitzer, ofiarował na założenie szkoły tkackiej w Moskwie 25,000 rs. — Inżenier-mechanik zakładów fabrycznych Scheiblera, Edward Wagner, wynalazł przyrząd do nawlekania nici ze szpulek w czółenka przy warsztatach tkackich. Obecnie przy nawlekaniu nitki robotnik wciąga powietrze przez dziurkę, urządzoną w czółenku, wdychając w płuca tym sposobem różne zjadliwe pyłki i gazy. Wynalazek p. W. usuwa tę niedogodność.

Petersburg. Dzienniki petersburskie donoszą, iż od wykonawców testamentu barona Hirscha nadeszło polecenie zamknięcia centralnego petersburskiego Towarzystwa kolonizacyjnego.— Ministeryum spraw wewnętrznych wyznaczyło na powiększenie kościoła katolickiego w Petersburgu 65,000 rs. — Dzienniki finlandzkie donoszą, iż w Finlandyi utworzono nową posadę inspektora rosyjskich szkół elementarnych, którego obowiązkiem będzie nadzór nad temi szkołami i czuwanie nad ich stroną gospodarczą.

Moskwa. W d. 23 z. m. w Moskwie wybuchł pożar w muzeum imienia Rumiancewa; ogień pokazał się w czytelni publicznej. Urządzenie wewnętrzne, meble, szafy, książki spaliły się; bardzo mało rzeczy zdołano uratować, sąsiednie sale: Rumiancewska, gdzie się znajduje wiele przedmiotów kosztownych, oraz t. zw. „Dołgorukowskaja,“ są silnie uszkodzone przez zalew wodą. — W tymże dniu w Moskwie były urządzone trzecie z kolei wyścigi gołębi pocztowych na dystansie 169 wiorst. Przestrzeń tę gołębie przebywały w przeciągu czterech godzin z minutami.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Wobec projektowanych zmian w przepisach, dotyczących ulg względem pełnienia powinności wojskowej, według zapewnień dzienników petersburskich, zamierzono znieść dotychczas obowiązujący przepis, na którego mocy nauczyciele szkół elementarnych wiejskich i miejskich są wolni od wojska. Na przyszłość nauczyciele ci będą służyli we froncie przez rok jeden, poczem mają być zaliczani do rezerwy na 17 lat.

— *Warsz. Dniew.* donosi, że płockie Towarzystwo żeglugi „Merkury“ ubezpieczyło oficyalistów i robotników swoich w liczbie 30, na wypadek kalectwa lub niezdolności do pracy. Każdy z oficyalistów ubezpieczony jest na 2,000 rs., robotnicy zaś na mniejsze sumy.

— Wyklęty ks. Stojałowski ogłosił list, zatytułowany: „Nie pójdziemy do Canossy!“

— Najnowszą powieść Emia Zoli *Rzym* wciągnęła kongregacya indeksu na listę książek zakazanych.

Szkoły. Zarząd szkoły handlowej imienia Kronenberga poczynił starania, mające na celu rozszerzenie dotychczasowych praw i przywilejów tego zakładu, oraz przyjęcia go pod zawiadowanie ministeryum skarbu. Program szkoły, na żądanie kuratora okręgu naukowego zmieniono według programu szkoły handlowej odeskiej i złożono do zatwierdzenia władzy; jeżeli jednak szkoła ta przejdzie pod zwierzchnictwo ministeryum skarbu, w takim razie będzie zastosowany do niej typ ogólny, średni lub wyższy.

— Opłatę szkolną w warszawskiem progimnazyum żeńskiem z nowym 1896/7 r. szkolnym podniesiono wskutek rozporządzenia ministeryalnego do 35 rs. rocznie.

— Z powodu znacznego napływu kandydatów i znacznej liczby uczniów, którzy otrzymali promocyę w gimnazyum lubelskiem z drugiej klasy do trzeciej, będzie otwarty oddział równoległy klasy trzeciej; wakansów do klasy III-ej jest jeszcze 20.

— W pinczowskiem progimnazyum męskiem są wakanse we wszystkich klasach; egzaminy wstępne rozpoczną się w dniu 14-m września.

— Politechnika lwowska, której rektorem obrano na rok szkolny 1896/7 d-ra Mieczysława Łazarskiego, liczyła w r. z. 309 słuchaczów, w tem 52 z Królestwa Polskiego.

Z prasy. P. Stanisław Libicki, kandydat prawa, dotychczasowy kierownik *Gazety Sądowej*, otrzymał zatwierdzenie na redaktora *Kuryera Codziennego*.

Koleje i komunikacye. *Nowości* donoszą, że koleje niemieckie poczyniły starania w ministeryum komunikacyj o ustanowienie bezpośredniej komunikacyi towarowej z Niemiec do Warszawy.

— Z rozporządzenia zarządu komunikacyj, stare tamy na Wiśle będą rozebrane, jako przeszkadzające żegludze, tam zaś, gdzie są niezbędne, będą wzniesione nowe kosztem około 15,000 rs.

— Główny zarząd poczt i telegrafów zawiadomił, że na stacyi telegraficznej Szaki, w gub. Suwalskiej, rozpoczęto przyjmowanie i wydawanie depesz telegraficznych w korespondencyi międzynarodowej.

— Na stacyi pocztowo-telegraficznej Mir, w gub Mińskiej, departament poczt i telegrafów dozwolił przyjmować i wysyłać depesze telegraficzne międzynarodowe.

— Na st Mironówka, w gub. Kijowskiej, otwarto stacyę telegraficzną, przyjmującą korespondencyę wewnętrzną i międzynarodową.

Pożar. Straszny pożar nawiedził miasteczko Kossów w Galicyi wschodniej w d. 20 z m. Cerkiew, bóżnica, urząd pocztowy i 93 domy mieszkalne padły ofiarą płomieni, powstałych prawdopodobnie wskutek podpalenia, gdyż pożogę spostrzeżono równocześnie w trzech miejscach. Jest to już trzeci pożar jakiemu ulega Kossów w ciągu lat dwóch; obecnie kilkaset osób nocuje pod gołem niebem i cierpi głód.

Wielka powódź nawiedziła kraj Południowo-Ussuryjski Amur i wszystkie dorzecza wylały, zatapiając nadbrzeżne osady na przestrzeni 400 wiorst między Władywostokiem a Imanem. Przyczyną tej klęski był straszliwy orkan, a następnie ulewa, dwie doby trwająca. Liczne ofiary w ludziach. Wspaniałe urodzaje i zbiory siana przepadły. Zginęło mnóstwo bydła. Ludność potrzebuje natychmiastowej pomocy Wszystkie władze administracyjne, wojskowe i morskie energicznie zabrały się do dzieła w tym celu. Nowozbudowana kolej syberyjska bardzo ucierpiała. W wielu miejscach plant podmyty, a nawet zupełnie zniesiony, tak, że w miejscach, gdzie niedawno jeszcze leżały szyny kolejowe, obecnie komunikacya odbywa się łodziami. Zachodzą również poważne obawy o całość i bezpieczeństwo mostu.

Zmarli. Aleksy ks. Łobanow-Rostowski, minister rosyjski spraw zagranicznych, zmarł nagle w drodze do Kijowa, przed stacyą Szepetówka, gub. Wołyńskiej.

— Jan Banzemer, publicysta z zakresu ekonomii politycznej i spraw społecznych. Urodzony w roku 1841 w Warszawie, kształcił się w temże mieście, następnie studyował w Heidelbergu, Jenie i Berlinie i uzyskał stopień doktora filozofii. W r. 1863 wyjechał ponownie za granicę i bawił w Paryżu, Dreźnie i Krakowie. Wróciwszy do Warszawy w r. 1869, założył tygodnik p. t. *Ekonomista*. Ostatnio był urzędnikiem warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 23 Августа 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.